

---

This is a reproduction of a library book that was digitized by Google as part of an ongoing effort to preserve the information in books and make it universally accessible.

Google™ books

<https://books.google.com>





Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwie.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

PG  
7158  
M5  
A6  
1832a  
v.4

MEM

# Poezyc

ADAMA MICKIEWICZA.

TOM CZWARTY.



**PARYŻ,**

NAKŁADEM AUTORA,

COSTANIE PRZY ULICY DES BEAUX-ARTS, n° 6.

1832.

**General Library System  
University of Wisconsin - Madison  
728 State Street  
Madison, WI 53706-1494  
U.S.A.**

*Lawrence L. Thomas*

**POEZY.**



**W PARYŻU, W DRUKARNI A. PINARD,**  
**PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE, N° 15.**



# POEZYE

ADAMA

MICKIEWICZA.

TOM CZWARTY.



**PARYŻ,**

NAKŁADEM AUTORA,

DOSTANIE PRZY ULICY DES BEAUX-ARTS, N° 6.

1832.

General Library System  
University of Wisconsin - Madison  
723 State Street  
Madison, WI 53706-1494  
U.S.A.

**MUZEUM  
MICKIEWICZA  
WARSZAWA**

I 4



Wm

10218610

PG

7158

M5

A6

1832a

v. 4

# DEADY.

POEMA.

IV.

1.



**ŚWIĘTEJ PAMIĘCI**

**JANOWI SOBOLEWSKIEMU,  
CYPRYANOWI DASZKIEWICZOWI,  
FELIXOWI KÓŁAKOWSKIEMU.**

**SPÓŁUCZNIOM, SPÓŁWIĘZNIOM, SPÓŁWYGNAŃCOM;  
ZA MIŁOŚĆ KU OJCZYZNIE PRZEŚLADOWANYM,  
S TĘSKNOTY KU OJCZYZNIE ZMARŁYM  
W ARCHANGIELU, NA MOSKWIE, W PETERSBURGU.**

**NARODOWEJ SPRAWY  
MĘCZENNIKOM.**

**Poświęca AUTOR.**



Polska od półwieku przedstawia widok z jednej strony tak ciągłego, niezmordowanego i niezłaganego okrucieństwa tyranów, z drugiej tak nieograniczonego poświęcenia się ludu i tak uporcezwej wytrwałości, jakich niebyło przykładu od czasu prześladowania chrześcijaństwa. Zdaje się że królowie mają przeczucie herodowe, o zjawieniu się nowego światła na ziemi i o bliskim swoim upadku, a lud coraz mocniej wierzy w swoje odrodzenie się i zmartwychwstanie.

Dzieje męczeńskiej Polski obejmują wiele pokoleń i niezliczone mnóstwo ofiar; krwawe sceny toczą się po wszystkich stronach ziemi naszej i po obcych krajach. — Poema które dziś ogłaszamy zawiera kilka drobnych rysów tego ogromnego obrazu, kilka wypadków z czasu prześladowania podniesionego przez Imperatora Alexandra.

Około roku 1822 polityka Imperatora Alexandra przeciwna wszelkiej wolności, zaczęła się wyjaśniać, gruntować, i pewny brać kierunek. W ten czas podniesiono na cały ród polski prześladowanie

powszechnie, które coraz stawało się gwałtowniejsze i krwawsze. Wystąpił na scenę pamiętny w naszych dziejach senator Novossiltzoff. On pierwszy instynktową i zwierzęcą nienawiść rządu rossyjskiego ku polakom, wyrozumował jak zbawienną i polityczną, wziął ją za podstawę swoich działań, a za cel położył zniszczenie polskiej narodowości. W ten czas całą przestrzeń ziemi od Proсны aż do Dniepru i od Galicyi do bałtyckiego morza, zamknięto i urządzono jako ogromne więzienie. Całą administracją nakręcono jako jedną wielką polaków torturę, której koło obracali Carewicz Konstanty i senator Novossiltzoff. Systematyczny Novossiltzoff wziął naprzód na męki dzieci i młodzież, aby nadzieie przyszłych pokoleń w zarodzie samym wytepić. Założył główną kwaterę katowstwa w Wilnie, w stolicy naukowej prowincyi litewsko-ruskich. Były w ówczas między młodzieżą uuiwersytetu różne towarzystwa literackie, mające na celu utrzymanie języka i narodowości polskiej, kongresem Wiedeńskim i przywilejami Imperatora zostawionej polakom. Towarzystwa te widząc wzmagające się podejrzenia rządu, rozwiązały się wprzód jeszcze nim ukaz zabronił ich bytu. Ale Novossiltzoff chociaż w rok po rozwiązaniu się towarzystw przybył

do Wilna, udał przed Imperatorem że je znalazł działające ; ich literackie zatrudnienia wystawił jako wyraźny bunt przeciwko rządowi, uwięził kilkaset młodzieży i ustanowił pod swoim wpływem trybunały wojenne na sądzenie studentów. W tajemnej procedurze rosyjskiej, oskarżeni niemają sposobu bronięcia się, bo często niewiedzą o co ich powołano : bo zeznania nawet, komissya według woli swojej jedne przyjmuje i w raporcie umieszcza, drugie uchyla. Novossiltzoff z władzą nieogronioną od Carewicza Konstantego zesłany, był oskarżycielem, sędzią i katem. Skassował kilka szkół w Litwie, z nakazem, aby młodzież do nich uczęszczającą uważano za cywilnie umarłą, aby jej do żadnych posług obywatelskich, na żadne urzędy nieprzyjmowano, i aby jej niedozwolono ani w publicznych, ani w prywatnych zakładach kończyć nauk. Taki ukaz zabraniający uczyć się, nie ma przykładu w dziejach i jest oryginalnym rosyjskim wymysłem. Obok zamknięcia szkół, wskazano kilkudziesięciu studentów do min sybirskich, do taczek, do garnizonów azyatyckich. W liczbie ich byli mało-letni należący do znakomitych rodzin litewskich. Dwódziestu kilku już nauczycieli, już uczniów uniwersytetu wysłano na wiecnie

wygnanie w głąb Rosyi, jako podejrzanych o polską narodowość. Z tylu wygnańców jednemu tylko dotąd udało się wydobyć się z Rosyi.

Wszyscy pisarze który uczynili wzmiankę o przesładowaniu ówczesném Litwy, zgadzają się na to, że w sprawie uczniów Wileńskich było coś mistycznego i tajemniczego \*. Charakter mistyczny, łagodny, ale niezachwiany Tomasza Zana naczelnika młodzieży, religijna rezygnacya, braterska zgoda i miłość młodych więźniów, kara boża sięgająca widomie przesładowców, zostawiły głębokie wrażenie na umyśle tych, którzy byli świadkami lub uczestnikami zdarzeń; a opisane, zdają się przenosić czytelników w czasy dawne, czasy wiary i cudów.

Kto zna dobrze ówczesne wypadki, da świadectwo autorowi, że sceny historyczne i charaktery osob działających, skryślił sumiennie, nie nie dodając i nigdzie nieprzesadzając. I po cóżby miał dodawać albo przesadzać; czy dla ożywienia w sercu rodaków nienawiści ku wrogom? czy dla obudzenia litości w Europie? — Czémże są wszyst-

\* Obacz. Dzieło LEONARDA CHODŹKI : *Tableau de la Pologne ancienne et moderne*. Małe piśmko drukowane w czasie rewolucyi w Warszawie pod tytułem *Nowosilcow w Wilnie*, tudzież biografie Tomasza Zana w dykcyonarzach biograficznych i w dziele JÓZEFA STRASZEWICZA : *Les Polonais et les Polonaises*.



kie ówczesne okrucieństwa, w porównaniu tego, co naród polski teraz cierpi i na co Europa teraz obojętnie patrzy! Autor chciał tylko zachować narodowi wierną pamiątkę z historyi letewskiej lat kilkunastu : niepotrzebował ohydzać rodakom wrogów, których znają od wieków; a do litościwych narodów europejskich, które płakały nad Polską, jak niedołężne niewiasty Jeruzalemu nad Chrystusem, naród nasz przemawiać tylko będzie słowami zbawiciela : « Córki Jerozolimskie, nie płaczcie nademną, ale nad samemi sobą. »

IV.

**MUZEBUM  
MICKIEWICZA  
WARSZAWA**



# Gziady.

CZEŚĆ III.

---

LITWA.

---

PROLOG.

W WILNIE, PRZY ULICY OSTROBRAMSKIEJ, W KLA-  
SZTORZE XX. BAZYLIANOW, PRZEROBIONYM NA WIĘ-  
ZIENIE STANU. — CELA WIĘZNIĄ.

A strzeżcie się ludzi, albowiem was będą  
wylawać do siedzącej rady, i w bożnicach  
swoich was biczować będą.

MAT., R. X. w. 17.

I do Starostów i do Królów będziecie wodzeni  
na świadectwo im i poganom. w. 18.

I będziecie w nienawiści u wszystkich dla  
imienia mego. Ale kto wytrwa aż do końca,  
ten będzie zbawion. w. 22.

---

(Więzień wsparty na oknie, 4pi).

ANIOŁ-STRÓŻ.

Niedobre, nieczułe dziecko!  
Ziemskie matki twej zasługi,

Prośby jój na tamtym świecie,  
 Strzegły długo wiek twój młody,  
 Od pokusy i przygody :  
 Jako róża, anioł sadów,  
 We dnie kwitnie, w noc jój wonie  
 Bronią sennie dziecka skronie,  
 Od zarazy i owadów.

Nieraz ja na prośbę matki  
 I za pozwoleniem bożem,  
 Zstępowałem do twej chatki,  
 Cichy, w cichej nocy cieniu :  
 Zstępowałem na promieniu  
 I stawałem nad twem łóżem.

Gdy cię noc ukołysała,  
 Ja nad marzeniem namiętném,  
 Stałem jak lilia biała,  
 Schylona nad źródłem mętném.  
 Nieraz dusza mnie twa zbrzydła,  
 Ale w złych myśli nacisku

Szukał dobrej, jak w mrowisku  
Szukają ziarenek kadzidła.

Ledwie dobra myśl zaświeci  
Brałem duszę twą za rękę,  
Wiodłem w kraj gdzie wieczność świeci,  
I spiewałem jej piosenkę,  
Którą rzadko ziemskie dzieci  
Słyszą, rzadko i w uśpieniu  
A zapomną w odecknieniu,  
Jam ci przysłałem szczęście głosił,  
Na mych rękach w niebo nosił,  
A tyś słyszał niebios dźwięki,  
Jako pjanych uczt piosenki.

Ja syn chwały nieśmiertelnej  
Przybierałem w tenczas postać  
Obrzydłej larwy piekielnej,  
By cię straszyc, by cię chłostać;  
Tyś przyjmował chłostę Boga,  
Jak dziki, męczarnie wroga.  
I dusza twa w niepokoju,

Ale z dumą się budziła,  
 Jakby w niepamięci zdroju  
 Przez noc całą męty piła.  
 I pamiętki wyższych światów  
 W głąb ciągnąłeś, jak kaskada  
 Gdy w podziemną przepaść wpada,  
 Ciągnie liście drzew i kwiatów.

Na ten czas gorzko płakałem  
 Oblicze tuląc w me dłońie;  
 Chciałem i długo nieśmiałem  
 Ku niebieskiej wracać stronie;  
 Bym niespotkał twojej matki: —  
 Spyta się jaka nowina  
 Z kóli ziemskiej, z mojej chatki  
 Jaki sen był mego syna.

WIĘZIENIE.

(Budzi się strudzony i patrzy w okno — rano.)

Nocy cicha, gdy wschodzisz, kto ciebie zapyta  
 Z kąd przychodzisz; gdy gwiazdy przed sobą rozsiejesz,

Kto z tych gwiazd tajnie przyszłej drogi twej wyczytał!—  
 Zaszło słońce, wołają astronomy z wieży,  
 Ale dla czego zaszło, nikt nieodpowiada :  
 Ciemności kryją ziemię i lud we śnie leży,  
 Lecz dla czego śpią ludzie, żaden z nich niebada.  
 Przebudzą się bez czucia, jak bez czucia spali —  
 Niedziwi słońca dziwna lecz codzienna głowa ;  
 Zmienia się blask i ciemność jako straż półkowa,  
 Ale gdzież są wodzowie co jej rozkazali?

A sen? — ach ten świat cichy, głuchy, tajemniczy,  
 Życie duszy, czyż niejest warte badań ludzi!  
 Któż jego miejsce zmierzy, kto jego czas zliczy!  
 Trwoży się człowiek śpiący — śmieje się gdy zbudzi.  
 Mędracy mówią że sen jest tylko przypomnienie —  
 Mędracy przekłęci!

Czyż nieumiem rozróżnić marzeń od pamięci?  
 Chyba mnie wmówią że moje więzienie  
 Jest tylko wspomnienie.

Mówią że senne czucie roskoszy i kaźni  
 Jest tylko grą wyobraźni; —

Głupi, za ledwie z wieści wyobraźnią znają  
I nam wieszczom o niej bajają!  
Bywałem w niej, zmierzyłem lepiej jej przestrzenie,  
I wiem, że leży za jej granicą — marzenie.  
Prędzej dzień będzie nocą, roskosz będzie kaźnią,  
Niż sen będzie pamięcią, mara wyobraźnią.  
(Kładnie się i wstaje znowu — idzie do okna.)  
Niemogę spocząć, te sny to straszą, to łudzą: —  
Jak te sny mię trudzą!

(Drżmie.)

#### DUCHY NOCNE.

Puch czarny, puch miękki pod głowę podłożmy,  
Spiewajmy, a cicho — nietrwożmy, nietrwożmy.

#### DUCH Z LEWEJ STRONY.

Noc smutna w więzieniu, tam w mieście wesele,  
U stołów tam muzyki huczą;  
Przy pełnych kielichach śpiewają minstrele  
Tam nocą komety się włóczą:  
Komety z oczkami i z jasnym warkoczem

(Więzień usypia.)



Kto po nich kieruje łódź w biegu,  
Ten zaśnie na fali, w marzeniu uroczém,  
Na naszym przebudzi się brzegu.

ANIOŁ.

My uprosiliśmy Boga  
By cię oddał w ręce wroga.  
Samotność mędrców mistrzyui:  
I ty w samotném więzieniu  
Jako prorok na pustyni,  
Dumaj o twém przeznaczeniu.

CHÓR DUCHÓW NOCNYCH.

W dzień Bóg nam dokucza, lecz w nocy wesele,  
W noc późną próżniaki się tuczą  
I w nocy swobodniej śpiewają minstrele,  
Szatany piosenek ich uczą.  
Kto ranną myśl świętą przyniesie z kościoła  
Kto rozmów pocziwych smak czuje,  
Noc-pijawka wyciągnie pobożną myśl z czoła,  
Noc-wąż w ustach smaki zatruje.

Spiewajmy nad seennym my nocy synowie,  
Usłużmy, aż będzie nam sługą.  
Wpadnijmy mu w serce, biegajmy po głowie  
Nasz będzie — ach gdyby spał długo!

ANIOŁ.

Modlono się za tobą na ziemi i w niebie  
Wkrótce muszą tyrani na świat puścić ciebie.

WIĘZIEN budzi się i myśli.

Ty co bliźnich katujesz więzisz i wyrzynasz  
I uśmiechasz się we dnie i w wieczor ucztujesz;  
Czy ty z rana choć jeden sen twój przypominasz,  
A jeśliś go przypomniał, czy ty go pojmujesz?

(Drzémie!)

ANIOŁ.

Ty będziesz zuowu wolny, my oznajmić przysli.

WIĘZIEN budzi się.

Będę wolny? — pamiętam, ktoś mi wczora prawił;  
Nie, zkadże to, czy we snie? czy Bóg mi objawił.

(Zasypia.)

ANIOŁOWIE.

Pilnujmy tylko , ach pilnujmy myśli ,  
Między myślami bitwa już stoczona

DUCHY Z LEWEJ STRONY.

Podwójmy napaść.

DUCHY Z PRAWEJ.

My podwójmy strażę  
Czy zła myśl wygra czy dobra pokona  
Intro się w mowach i w dziełach pokaże ;  
I jedna chwila tej bitwy wyrzeka  
Na całe życie o losach człowieka.

WIEZIENÍ.

Mam być wolny — tak ! niewiem s kąd przyszła nowina,  
Lecz ja znam co być wolnym z łaski Moskwicina.  
Łotry zdejmą mi tylko z rąk i nóg kajdany  
Ale wtłoczą na duszę — ja będę wygnany !  
Błąkać się w cudzoziemców , w nieprzyjaciół tłumie ,  
Ja śpiewak , — i nikt z mojej pieśni niezrozumie  
Nic , — oprócz niekształtnego i marnego dźwięku.  
Łotry, tej jednej broni z rąk mi niewydarły ;

Ale mi ją zepsuto, przełamano w rękę;  
Żywy, zostanę dla mej ojczyzny umarły,  
I myśl legnie zamknięta w duszy mojej cieniu,  
Jako dyament w brudnym zawarty kamieniu.

(Wstaje i pisze węglem z jednej strony.)

D. O. M.

GUSTAVUS

OBIIT M. D. CCC. XXIII.

CALENDIŃ NOVEMBRIS.

z drugiej strony :

HIC NATUS EST

CONRADUS.

M. D. CCC. XXIII

CALENDIS NOVEMBRIS.

(Wspiera się na oknie — usypia.)

DUCH.

Człowieku! gdybyś wiedział jaka twoja władza!  
Kiedy myśl w twojej głowie, jako iskra w chmurze  
Zabłyśnie niewidzialna, obłoki zgromadza,  
I tworzy deszcz rodzajny, lub gromy i burze;  
Gdybyś wiedział że ledwie jedną myśl rozniecisz,

Już czekają w milczeniu, jak gromu żywioły,  
 Tak czekają twej myśli — szatan i anioły :  
 Czy ty w piekło uderzysz, czy w niebo zaświecisz ;  
 A ty jak obłok górny, ale błędny pałasz  
 I sam niewiesz gdzie lecisz, sam niewiesz co zdrałasz.  
 Ludzie! każdy z was mógłby, samotny, więziony,  
 Myślą i wiarą zwać i podźwigać trony.



## AKT I.

### SCENA I.

KÓRYTARZ. — STRAŻ S KARABINAMI STOI O PODAL. —  
KILKU WIĘZNIOW MŁODYCH ZE ŚWIĘCAMI WYCHODZĄ  
Z CEL SWOICH. — PÓŁNOC.

JAKÓB.

Czy można? — obaczym się?

ADOLF.

Straż gorzałkę pije;

Kapral nasz.

JAKÓB.

Która biła?

ADOLF.

Północ niedaleko.

JAKÓB.

Ale jak nas runt złowi kaprala zasięka.

ADOLF.

Tylko zgaś świecę; — widzisz, — ogień w okna bije

(Gaszą świecę.)

Runt dzieciństwo! runt musi do wrót długo pukać,

Dadź hasło i odebrać, musi kluczew szukać: —

Potém, — długi kurytarz, — nim nas runt zacapi,

Rozbieżym się, drzwi zamkną, każdy padł i chrapi.

(Inni więźnie wywołani z celi wychodzą.)

ŻEGOTA.

Dobry wieczor.

KONRAD.

I ty tu!

X. LWOWICZ.

I wy tu?

SOBOLEWSKI.

I ja tu.

FREJEND.

A wiecie co, Żegoto, idziem do twej celi,

Swieży więzień dziś wstąpił do nowicyatu,

I ma komin ; tam dobry ógicń będziem mieli,  
A przy tém nowość, — dobrze widziéć nowe ściany.

SOBOLEWSKI.

Żegoto ! a jak się masz ; — i ty tu kochany !

ŻEGOTA.

U mnie cela trzy kroki ; was taka gromada.

FREJEND.

Wiécie co, pójdźmy lepiej do celi Konrada.  
Najdalsza jest, przytyka do muru kościoła ;  
Niesłychać stamtąd, choć kto śpiewa albo woła.  
Myszę dziś głośno gadać i chcę śpiewać wiele ;  
W mieście pomysła że to śpiewają w kościele.  
Jutro jest Narodzenie Boże — Eh — koledzy,  
Mam i kilka butelek.

JAKÓB.

Bez kaprała wiedzy ?

FREJEND.

Kapral poczciwy i sam z butelek skorzysta,  
Przy tém jest Polak, dawny nasz legionista,  
Którego Car przerobił gwałtem na Moskala.



Kupral dobry katolik, i więziom pozwala  
Przepędzić wieczor świętej Wigilii razem.

JAKÓB.

Gdyby się dowiedzieli, nieuszłoby płazem.

(Wchodzą do celi Konrada, nakładają ogień w kominie i zapalają  
świecę. — Cęła Konrada jak w prologu.)

X. LWOWICZ.

I s kądże się tu wziąłś Żegota kochany :  
Kiedy ?

ŻEGOTA.

Dziś mię porwali, z domu, ze stodoły.

X. LWOWICZ.

I ty byłś gospodarz ?

ŻEGOTA.

Jaki! zawołany.

Żebyś ty widział inoje merynosy, woły!  
Ja co pierwej nieznałem co owies, co słoma,  
Mam sławę najlepszego w Litwie ekonoma.

JAKÓB.

Wzięto cię niespodzianie ?

ŻEGOTA.

Od dawna słyshałem  
 O jakimś w Wilnie śledztwie ; dom mój blisko drogi.  
 Widać było kibitki latające czwałem,  
 I co noc nas przerażał poczty dźwięk złowrogi.  
 Nieraz gdyśmy wieczorem do stołu zasiedli  
 I ktoś żartem uderzył w szklankę noża trzonkiem,  
 Drżały kobiety nasze, staruszkowie bledli,  
 Myśląc że już zajeżdża feldjegier ze dzwonkiem.  
 Lecz niewiedziałem kogo szukają i za co,  
 Nienależałem dotąd do żadnego spisku.  
 Sądzę że rząd to śledztwo wynalazł dla zysku  
 Że się więźniowie nasi porządnie opłacą,  
 I powrócą do domu.

TOMASZ.

Taką masz nadzieję?

ŻEGOTA.

Jużci przecież bez winy w Sybir nas niewysłał;  
 A jakąż winę naszą znajdą lub wymyślą?

Milczycie,—wytłumaczcież co się tutaj dzieje  
O co nas oskarżono, jaki powód sprawy?

TOMASZ.

Powód — że Nowosilcow przybył tu z Warszawy.  
Znasz zapewne charakter Pana Senatora .  
Wiész że już był w niełasce u imperatora,  
Że zysk dawniejszych łupiestw, przepił i rostrwonił  
Stracił u kupców kredyt i ostatkiem gonił.  
Bo pomino największych starań i zabiegów,  
Niemoże w Polsce spisku żadnego wysledzić ;  
Więc postanowił świeży kraj, Litwę nawiedzić  
I tu przeniósł się s całym głównym sztabem szpiegów.  
Żeby zaś mógł bezkarnie po Litwie plądrować,  
I na nowo się w łaskę samodziędzy wkręcić,  
Musi z towarzystw naszych wielką rzecz wysnować  
I nowych wiele ofiar Carowi poświęcić.

ŻEGOTA.

Lecz my się uniewinnim —

TOMASZ.

Bronić się daremnie —

I śledztwo i sąd cały toczy się tajemnie ;  
 Nikomu niepowiedzą za co oskarżony,  
 Ten co nas skarży, naszój ma służyć obrony ;  
 On gwałtem chce nas karać — nie unikniemy kary.  
 Został nam jeszcze środek smutny — lecz jedyny :  
 Kilku z nas poświęcimy wrogom na ofiary,  
 I ci na siebie muszą przyjąć wszystkich winy  
 Ja stałem na waszego towarzystwa czele,  
 Mam obowiązek cierpieć za was przyjaciele ;  
 Dodajcie mi wybranych jeszcze kilku braci,  
 S takich co są sieroty, starsi, nieżonaci,  
 Których zguba niewiele serc w Litwie zakrwawi  
 A młodszych, potrzebniejszych z rąk wroga wybawi.

ŻEGOTA.

Więc aż do tego przyszło ?

JAKÓB.

Patrz jak się zasmucił,  
 Niewiedział że dom może na zawsze porzucił.

FREJEND.

Nasz Jacek musiał żonę zostawić w połogu,  
A nieplacze —

FELIX KÓŁAKOWSKI.

Ma płakać? owszem — chwafa Bogu.  
Jeśli powije syna, przyszłość mu wywieszczę —  
Daj mi no rękę — jestem trochę chiromanta  
Wywróżę tobie przyszłość twojego infanta:

(Patrzac na rękę.)

Jeśli będzie pocziwy, pod moskiewskim rządem,  
Spotka się niezawodnie z kibitką i sądem;  
A kto wie, może wszystkich nas znajdzie tu jeszcze —  
Lubię synow, to nasi przyszli towarzysze.

ŻEGOTA.

Wy tu długo siedzicie?

FREJEND.

Z kądże datę wiedzieć?

Kalendarza niemamy, nikt listów niepisze ;  
To gorsza, że niewienny póki mamy siedzieć.

SUZIN.

Ja mam u okna parę drewniannych firanek ,  
I niewiem nawet kiedy mrok a kiedy ranek.

FREJEND.

Ale pytaj Tomasza, patryarchę biedy ; —  
Największy szczupak, on też pierwszy wpadł do matni ;  
On nas tu wszystkich przyjął i wyjdzie ostatni,  
Wię o wszystkich, kto przybył, z kąd przybył i kiedy.

SUZIN.

To Pan Tomasz ! ja poznać niemogłem Tomasza.  
Daj mi rękę, znałeś mię krótko i niewiele :  
W tenczas tak była droga wszystkim przyjaźń wasza  
Otaczali was liczni, bliżsi przyjaciele ;  
Niedojrzałeś mię w tłumie, lecz ja ciebie znałem,  
Wiem coś zrobił, coś cierpiał, żebyś nas ocalił ; —  
Od tąd będę się s twojej znajomości chwalił ,  
I w dzień zgonu przypomnę — z Tomaszem płakałem.

FREJEND.

Ale dla Boga, po co te łzy, płacze, zgroza.  
Patrz — Tomasz gdy był wolny, miał na swoim czole  
Wypisano wielkimi literami « koza ».  
Dziś w więzieniu jak w domu, jak w swoim żywiole.  
On był na świecie jako grzyby kryptogamy,  
Więdniał i schnął od słońca; — wsadzony do lochu,  
Kiedy my słońieczniki bledniejem, zdychamy,  
On rozwija się, kwitnie i tyje po trochu.  
Ale też wziął Pan Tomasz kuracją modną,  
Sławną teraz na świecie kuracją głodną.

ŻEGOTA, do Tomaszka.

Głodem ciebie morzono?

FREJEND.

Dodawano stawy;  
Ale gdybyś ją widział, — widok to ciekawy!  
Dość było taką strawą w pokoju zakadzić,  
Ażeby myszy wytruć i swierszcze wygładzić.

**ŻEGOTA.**

I jakże ty jeść mogłeś!

**TOMASZ.**

Tydzień nic niejadłem,  
Potem jeść próbowałem, potem z sił opadłem;  
Potem jak po truciznie czułem bole, kłńcia,  
Potem kilka tygodni leżałem bez czucia.  
Niewiem ile i jakim choroby przebywałem,  
Bo niebyło doktora coby je nazywał.  
Wreszcie jam wstałem, jadłem znowu i do sił przychodziłem,  
I zdaje mi się, że do tej strawy zrodziłem.

**FREJEND, z wymuszoną wesołością:**

Wierzcie mi, tam za kozą same urojenia:  
Kto tu był, sekret kuchni i mieszkań przeniknął:  
Jeść, mieszkać, źle czy dobrze, skutek przywyknienia.  
— Pytał raz Litwin, niewiem, djabła czy Pińczuka,  
Dla czego siedzisz w błocie? — siedzę bom przywyknąłem.



JAKÓB.

Ależ przywyknąć bracie!

FREJEND.

Na tém cała sztuka.

JAKÓB.

Ja tu siedzę podobno od ósmiu miesięcy,  
A tak tęsknię jak pierwszej, nie mniej —

FREJEND.

I nie więcej?

Pan Tomasz tak przywyknął, że mu powiew zdrowy  
Zaraz piersi obciąża, robi zawrót głowy.  
On odwyknął oddychać, niewychodzi s celi —  
Jeśli go stąd wypędzą, koza się opłaci :  
Bo on potem ni grosza na wino nie straci,  
Tylko fyknie powietrza i wnet się podchmieli <sup>3</sup>

TOMASZ.

Wolałbym bydz pod ziemią, w głodzie i chorobie

Znosić kije i gorsze niżli kije — śledztwo ;  
 Niż tu w lepszym więzieniu, mieć was za sąsiedztwo—  
 Łotry ! wszystkich nas w jednym chcą zakopać grobie.

FREJEND.

Jakto ? więc płaczesz po nas ? — masz kogo żałować.  
 Czy nie mnie, pytam, jaka korzyść z mego życia ?  
 Jeszcze w wojnie, — mam jakiś talencik do bicia,  
 I mógłbym kilku Dońcom grzbiety naszpikować.  
 Ale w pokoju — cóż stąd, że lat sto przeżyję  
 I będę kłął Moskalow, i umrę, — i zgniję.  
 Na wolności wiek cały byłbym mizerakiem,  
 Jak proch, albo jak wino miernego gatunku ; —  
 Dziś gdy wino zatknięto, proch przybito kłakiem,  
 W kozie mam całą wartość butli i ładunku.  
 Wytchnąłbym się jak wino, z otwartej konewki ;  
 Spaliłbym jak proch lekko, z otwartej panewki.  
 Lecz jeśli mię w łańcuchach stąd na Sybir wyślą,  
 Obaczą mię Litwini bracia, i pomyślą :  
 Wszakci to krew szlachecka, to młódź nasza ginie,  
 Poczekaj zbójco Caru, czekaj Moskwicinie ! —

Taki jak ja Tomaszu, dałby się powiesić,  
 Żebyś ty jedną chwilę żył na świecie dłużej :  
 Taki jak ja, ojczyźnie tylko śmiercią służy,  
 Umarłbym dziesięć razy, byle cię raz wskrzesić ; —  
 Ciebie, lub ponurego poetę Konrada,  
 Który nam o przyszłości, jak Cygan pawiada —

(Do Konrada.)

Wierzę bo Tomasz mówił, żeś ty śpiewak wielki,  
 Kocham cię, boś podobny także do butelki :  
 Rozlewasz pieśń, uczuciem, zapałem oddychasz,  
 Pijem, czuję, a ciebie ubywa — usychasz.

(Bierze za rękę Konrada i szy sobie ociera.)

(Do Tomasa i Konrada.)

Wy wiecie że was kocham, ale można kochać,  
 Niepłakać. Otoż bracia, osuszcie łzy wasze ; —  
 Bo jak się raz roszulę i jak zacznę szlochać,  
 I herbaty niezrobię i ogień zagaszę.

(Robi herbatę.)

(Chwila milczenia.)

#### X. LWOWICZ.

Prawda, źle przyjmujemy nowego przybysza ;

(Pokazując Żegotę.)

W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin — 4  
Czy niedosyć w dzień milczym! — he? — jak długa cisza.

JAKÓB.

Czy niema nowin z miasta?

WSZYSCY.

Nowin?

X. LWOWICZ.

Żadnych nowin?

ADOLF.

Jan dziś chodził na śledztwo, był godzinę w mieście,  
Ale milczy i smutny; — i jak widać z miny  
Niema ochoty gadać.

KILKU Z WIĘZNIOW.

No Janie! — nowiny?

JAN SOBOLEWSKI ponuro.

Nie dobre — dziś — na Sybir — kibitek dwadzieście  
Wywiezli.

ŻEGOTA.

Kogo? — naszych?

JAN.

Studentow ze Żmudzi.

WSZYSCY.

Na Sybir?

JAN.

I paradnie! — było mnóstwo ludzi.

KILKU.

Wywiezli!

JAN.

Sam widziałem.

JACEK.

Widziałeś! — i mego  
Brata wywiezli? — wszystkich?

JAN.

Wszystkich, — do jednego.

Sam widziałem. — Wracając, prosiłem kaprała  
 Zatrzymać się; pozwolił chwilkę. Stałem zdala,  
 Skryłem się za słupami kościoła. W kościele  
 Właśnie msza była; — ludu zebrało się wiele.  
 Nagle lud cały runął przeze drzwi nawałem,  
 Z kościoła ku więzieniu. Stałem pod przysionkiem,  
 I kościół tak był pusty, że w głębi widziałem  
 Xiędza s kielichem w ręku i chłopca ze dzwonkiem.  
 Lud otoczył więzienie nieruchomym wałem;  
 Od bram więzienia na plac, jak w wielkie obrzędy,  
 Wojsko z bronią, z bębniami, stało we dwa rzędy;  
 W pośrodku nich kibitki. — Patrząc, s placu sądzi  
 Poliemeister na koniu; — z miny zgadłbyś łatwo,  
 Że wielki człowiek, wielki tryumf poprowadzi :  
 Tryumf Cara północy, zwycięzcy nad — dziatwą. —  
 W krótcie znak dano bębniem i ratusz otwarty —  
 Widziałem ich : — za każdym z bagnetem szły warty,  
 Małe chłopczy, znędzniałe, wszyscy jak rekruci  
 Z golonemi głowami; — na nogach okuci.

Biedne chłopczy! — najmłodszy, dziesięć lat, nieboże,  
 Skarzył się że łańcucha podźwignąć niemoże ;  
 I pokazywał nogę skrwawioną i nagą.  
 Policmeister przejeżdża, pyta czego żądał ;  
 Policmeister człek ludzki, sam łańcuch oglądał :  
 « Dziesięć funtow, zgadza się s przepisana waga. » —  
 Wywiedli Janczewskiego ; — poznałem, oszpetniał,  
 Szczerbiał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał.  
 Ten przed rokiem swawolny, śladny chłopczyk mały,  
 Dziś poglądał s kibitki, jak z odludnej skały  
 Ów cesarz! — okiem dumnym, suchym i pogodnym,  
 To zdawał się pocieszać współników niewoli,  
 To lud żegnał uśmiechem gorzkim lecz łagodnym ;  
 Jak gdyby im chciał mówić : niebardzo mię boli.  
 W tém zdało mi się że mnic napotkał oczyma,  
 I niewidząc że kapral za suknią mię trzyma,  
 Myślił żem uwolniony ; — dłoń swą ucałował,  
 I skinął ku mnie, jakby żegnał i winszował ; —  
 I wszystkich oczy nagle zwróciły się ku mnie,  
 A kapral ciągnął gwałtem ażebym się schował ;  
 Niechciałem, tyłkom stanął bliżej przy kolumnie.  
 Uważałem na więźnia postawę i ruchy : —

On postrzegł że lud płacze patrząc na łańcuchy,  
 Wstrząsł nogą łańcuch, na znak, że mu niezbyt ciężki. —  
 A w tém zacięto konia, — kibitka runęła —  
 On zdjął z głowy kapelusz, wstał i głos natężył,  
 I trzykroć krzyknął : « jeszcze Polska niezginęła. » —  
 Wpadli w tłum; — ale długo ta ręka ku niebu,  
 Kapelusz czarny jako chorągiew pogrzebu,  
 Głowa s której włos przemoc odarła bezwstydną,  
 Głowa niezawstydzona, dumna, z dala widna,  
 Co wszystkim swą niewinność i hańbę obwieszczą,  
 I wystaje s czarnego tyłu głów natłoku,  
 Jak z morza łeb delfina, nawałnicy wieszczą,  
 Ta ręka i ta głowa, zostały mi w oku,  
 I zostaną w mej myśli, — i w drodze żywota  
 Jak kompas pokażą mi, powiodą gdzie cnota :  
 Jeśli zapomnę o nich, ty Boże na niebie  
 Zapomnij o mnie. —

X. LWOWICZ.

Amen za was.

KĄŻDY Z WIĘZNIOW.

I za siebie.



JAN SOBOLEWSKI.

Tymczasem zajeżdżały inne rzędem długim  
 Kibitki; — ich wsadzano jednego po drugim.  
 Rzuciłem wzrok po ludu ścisnionego kupie,  
 Po wojsku, — wszystkie twarze pobladły jak trupie;  
 A w takim tłumie taka była cichość głucha,  
 Żem słyszał każdy krok ich, każdy dźwięk łańcucha.  
 Dziwna rzecz! wszyscy czuli jak nie ludzka kara:  
 Lud, wojsko czuje, — milczy, — tak boją się cara.  
 Wywiedli ostatniego; — zdało się że wzbraniał,  
 Lecz on biedny iść niemógł, co chwila się słaniał,  
 Zwolna schodził ze schodów, i ledwie na drugi  
 Szczebel stąpił, stoczył się i upadł jak długi;  
 To Wasilewski, siedział tu w naszym sąsiedztwie;  
 Dano mu tyle kijów onegdaj na śledztwie,  
 Że mu odtąd krwi kropli w twarzy nie zostało.  
 Żołnierz przyszedł i podjął z ziemi jego ciało,  
 Nioś w kibitkę na rękę, ale ręką drugą  
 Tajemnie łzy ocierał; — nioś powoli, długo,  
 Wasilewski nie zemdlał, niewisnął, nie ciężał,  
 Ale jak padł na ziemię prosto, tak oteżał.

Niesiony jak słupek sterczał, i jak s krzyża zdjęte  
 Ręce miał nad barkami żołnierza rozpięte;  
 Oczy straszne, zbiegające, szeroko rozwarte, —  
 I lud oczy i usta otworzył; — i razem  
 Jedno westchnienie s piersi tysiąca wydarte,  
 Głębokie i podziemne jęknęło do koła,  
 Jak gdyby jęknęły wszystkie groby s pod kościoła.  
 Komenda je zgłuszyła bębniem i rozkazem :  
 Do broni, — marsz — ruszono; a środkiem ulicy  
 Puściła się kibitka lotem błyskawicy.  
 Jedna pusta; — był więzień, ale niewidomy;  
 Rękę tylko do ludu wyciągnął s pod słomy,  
 Siłą, rozwartą, trupią; trząsał nią jakby żegnał;  
 Kibitka w tłum wjechała. — nim bicz tłumy przegnał,  
 Stanęli przed kościołem; i właśnie w tej chwili,  
 Słyszałem dzwonek, kiedy trupa przewozili.  
 Spójrzałem w kościół pusty, i rękę kapłańską  
 Widziałem, podnoszącą ciało i krew Pańską,  
 I rzekłem, Panie, ty co sądami Piłata  
 Przelałeś krew niewinną dla zbawienia świata;  
 Przyjm tę s pod sądów Cara ofiarę dziecinną,  
 Nie tak świętą, ni wielką, lecz równie niewinną.

( Długie milczenie. )

JÓZEF.

Czytałem ja o wojnach ; — w dawnych, dzikich czasach,  
 Piszą, że tak okropne wojny prowadzono,  
 Że nieprzyjaciel drzewom nieprzepuszczał w lasach,  
 I że z drzewami na pniu zasiewy palono.  
 Ale car mędrszy, srożej, głębiej Polskę krwawi,  
 On nawet ziarna zboża zabiera i dławii ;  
 Sam szatan mu metodę zniszczenia tłumaczy.

KÓŁAKOWSKI.

I uczniowi najlepszą nagrodę wyznaczy.

(Chwila milczenia.)

X. LWOWICZ.

Bracia, kto wie, ów więzień może jeszcze żyje ;  
 Pan Bóg to sam wie tylko i kiedyś odkryje.  
 Ja jak Xiądz, pomodłę się, i wam radzę szczerze  
 Zmówić za męczennika spoczynek pacierze. —  
 Kto wie jaka nas wszystkich czeka jutro dola.

ADOLF.

Zmówże i po Xawerym pacierz jeśli wola ;  
Wiesz, że on, nim go wzięli, w łeb sobie wystrzelił

FREJEND.

Łebski ! — To z nami uczyt wesołe on dzielił,  
Jak przyszło dzielić biedę, on w nogi ze świata.

X. LWOWICZ.

Niezleby i za tego pomodlić się brata.

JANKOWSKI.

Wiesz Xięże; dalibógże drwię ja s twojój wiary :  
Coż s tąd, choćym był gorszym, niż Turki, Tatarzy,  
Choćym został złodziejem, szpiegiem, rozbojnikiem,  
Austryakiem, Prusakiem, Carskim urzędnikiem ;  
Jeszcze tak prędko bożej nielekam się kary ; —  
Wasilewski zabity, my tu — a są cary.

FREJEND.

Toż chciałem mowić, dobrze żeś ty za mnie zgrzeszył ; —

Ale pozwól odetchnąć, bom całkiem osłupiał.  
Słuchających powieści—człęk spłakał się, zgłupiał.  
Ej Felixie, żebyś ty nas trochę pocieszył!  
Ty jeśli zechcesz, w piekle djabłabyś rozsmieszył.

KILKU WIĘZNIOW.

Zgoda, zgoda Felixie, musisz gadać, śpiewać,  
Felix ma głos, hej Frejend, hej wina nalewać.

ŻEGOTA.

Stójcie na chwilę — ja też szlachcic sejnikowy,  
Choć ostatni przybyłem, niechęć cicho siedzieć;  
Józef nam coś o ziarnkach mówił, — na te mowy  
Gospodarz winien z miejsca swego odpowiedzieć.  
Lubo car wszystkie ziarna naszego ogrodu,  
Chce zabrać i zakopać w ziemię, w swoim carstwie,  
Będzie drożyzna, ale niebójcie się głodu;  
Pan Antoni już pisał o tém gospodarstwie.

JEDEN Z WIĘZNIOW.

Jaki Antoni?

ŻEGOTA.

Znacie bajkę Goreckiego?  
A raczej prawdę?

KILKU.

Jaką? powiedz nam kolego.

ŻEGOTA.

Gdy Bóg wygnał grzesznika z rajskiego ogrodu,  
Niechciał przecie ażeby człowiek umarł z głodu;  
I rozkazał aniołom zboże przysposobić,  
I rozsypać ziarnami po drodze człowieka.  
Przyszedł Adam, znalazł je, obejrzał zdaleka,  
I odszedł; bo niewiedział co ze zbożem robić.  
Aż w nocy przyszedł djabeł mądry i tak rzecze:  
Niedaremnie tu Pan Bóg rozsypał garść żyta,  
Musi tu być w tych ziarnach jakaś moc ukryta;  
Schowajmy je, nim człowiek ich wartość dociecze.  
Zrobił rogiem rów w ziemi i nasypał żytem,  
Napłwał i ziemią nakrył i przybił kopytem; —  
Dunny i rad że boże zamiary przeniknął,

Całym gardłem rozśmiał się i ryknął i zniknął.  
Aż tu wiosną, na wielkie djabła zadziwienie,  
Wyrasta trawa, kwiecie, kłosa i nasienie.  
O wy co tylko na świat idziecie s północą,  
Chytróść rozumem, a złość nazywacie mocą;  
Kto z was wiarę i wolność znajdzie i zagrzebie,  
Myśli Boga oszukać — oszuka sam siebie.

JAKÓB.

Brawo Antoni! pewnie Warszawę nawiedzi;  
I za tę bajkę znowu z rok w kozie posiedzi.

FREJEND.

Dobre to — lecz ja znowu do Felixa wracam.  
Wasze bajki — i co mi to za poezye,  
Gdzie muszę głowę trudnić niżli sens namacam;  
Nasz Felix z piosenkami niech żyje i pije!

(Nalewa mu wino.)

JANKOWSKI.

A Lwowicz co? — on pacierz po umarłych mówi!  
Posłuchajcie, zaśpiewam piosnkę Lwowiczowi.

(Śpiewa.)

Mówcie jeśli wola czyja,  
Jezus Maryja.  
Nim uwierzę że nam sprzyja,  
Jezus Maryja ;  
Niech wprzód fotrow powybija,  
Jezus Marya.  
Tam car jak dzika bestya,  
Jezus Marya !

Tu Nowosilcow jak źmija,  
Jezus Marya !  
Póki cała carska szyja,  
Jezus Marya,  
Póki Nowosilcow pija,  
Jezus Marya,  
Nieuwierzę że nam sprzyja  
Jezus Marya.

KONRAD.

Słuchaj ty ! — tych mnie imion przy kielichach wara.  
Dawno nicwiem gdzie moja podziała się wiara,



Niemieszam się do wszystkich świętych z litanii,  
Lecz niedozwolę bluźnić imienia Maryi.

KAPRAŁ, podchodząc do Konrada.

Dobrze że Panu jedno to zostało imię —  
Choć szuler zgrany wszystko wyrzuci s kalety,  
Niezgrał się, póki jedną ma sztukę monety.  
Znajdzie ją w dzień szczęśliwy, więc s kalety wyjmie,  
Więc da w handel na procent, Bóg pobłogosławi  
I większy skarb przed śmiercią, niżli miał, zostawi.  
To imię, Panie, nieżart — więc mnie się zdarzyło  
W Hiszpanii, lat temu — o, to dawno było.  
Więc byłem w legionach naprzód pod Dąbrowskim  
A potem wszedłem w sławny pólk Sobolewskiego.

SOBOLEWSKI.

To mój brat!

KAPRAŁ.

O mój Boże! pokój duszy jego!  
Walny żołnierz — tak — zginął od pięciu kul razem;  
Nawet podobny Panu. — Otoż — więc z rozkazem

Brata Pana, jechałem w miasteczko Lamego —  
 Jak dziś pamiętam — więc tam byli Francuziska :  
 Ten gra w kości, ten w karty, ten dziewczęta sciska—  
 Nuż beczeć ; — każdy Francuz jak podpije beczy.  
 Jak złączą tedy śpiewać wszyscy nic do rzeczy,  
 Siwobrode wężale takie pieśni tłuste !  
 Aż był wstyd mnie młodemu.—Zrospusty w rozpustę,  
 Dalej bredzić na świętych;—otoż z większych w większe  
 Grzechy lazać, nuż bluznić na Pannę najświętszą—  
 A trzeba wiedzieć że mam patent sodalisa,  
 I s powinności bronię Maryi imienia —  
 Więc ja im perswadować : — stulcie pysk do bisa !  
 Więc umilkli, niechcąc mieć ze mną do czynienia.—

(Konrad zamysla się, inni zaczynają rozmowę.)

Ale no Pan posłuchaj co się s tąd wyświęci.  
 Po zwadzie, poszliśmy spać, wszyscy dobrze cięci—  
 Aż w nocy trąbią na koń — złączą oboz trwożyć—  
 Francuzi nuż do czapek, i niemógą włożyć : —  
 Bo niebyło na co wdziac, — bo każdego główka  
 Była ślicznie odcięta nożem jak makówka.  
 Szelma gospodarz porzwał jak kury w folwarku ; —  
 Patrzę, więc moja głowa została na karku ;

W czapce kartka Łacińska, pismo niewiem czyje :

• Vivat Polonus, unus defensor Mariae. •

Otoż widzisz Pan, że ja tém imieniem żyję.

JEDEN Z WIĘZNIÓW.

Felixie, musisz śpiewać, nalać mu herbaty,

Czy wina. —

FELIX.

Jednogłosnie decydują braty  
Że muszę być wesoły. Chociaż serce pęka,  
Felix będzie wesoły i będzie piosenka.

(Śpiewa.)

Niedbam jaka spadnie kara,

Mina, Sybir, czy kajdany.

Zawsze ja wierny poddany,

Pracować będę dla cara.

W minach kruszec kując młotem

Pomyślę, ta mina szara,

To żelazo, — z niego potęci  
Zrobi ktoś topór na cara.

Gdy będę na zaludnieniu  
Pojmę córeczkę Tatara,  
Może w mojem pokoleniu  
Zrodzi się Palen dla cara.

Gdy w koloniach osiędę  
Ogrod zorzę, grzędę skopię,  
A na nich co rok siać będę  
Same lny, same kónopie.

S konopi ktoś zrobi nici —  
Srebrem obwita nić szara  
Może się kiedyś poszczyci,  
Że będzie szarfą dla cara.

CHÓR ŚPIEWA.

Zrodzi się Palen dla Cara -  
ra—ra—ra—ra—ra—ra—

SUZIN.

Lecz cóżto Konrad cicho zasepiony siedzi,  
 Jakby obliczał swoje grzechy do spowiedzi?  
 Felixie, on nieśłyszał zgoła twoich pieni;  
 Konradzie—patrzcie zbladnął, znowu się czerwieni.  
 Czy on słaby?

FELIX.

Stój cicho — zgadłem że tak będzie—  
 O my znamy Konrada, co to znaczy, wiemy.  
 Północ jego godzina. — Teraz Felix niemy,  
 Teraz, bracia, piosenkę lepszą posłyszemy.  
 Ale muzyki trzeba; — ty masz flet Frejendzie,  
 Graj dawną jego nótę, a my eicho stójmy,  
 I kiedy trzeba głosy do choru nastrojmy.

JÓZEF, patrząc na Konrada.

Bracia! duch jego uszedł i błądzi daleko;  
 Jeszcze nicwrócił—może przyszłość w gwiazdach czyta,  
 Może się tam z duchami znajomymi wita,  
 I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką.

Jak dziwne oczy — błyszczy ogień pod powieką,  
 A oko nic niemówi, i o nic niepyta;  
 Duszy teraz w nich niéma; błyszczą jak ogniska  
 Zostawione od wojska, które w nocy cieniu  
 Na daleką wyprawę ruszyło w milczeniu —  
 Nim zgasną, wojsko wróci na swe stanowiska.

(Frejend próbuje różnych nót.)

KONRAD, śpiewa.

Pieśń ma była już w grobie, już chłodna,—  
 Krew poczuła — s pod ziemi wygląda —  
 I jak upiór powstaje krwi głodna;  
 I krwi żąda, krwi żąda, krwi żąda.

Tak! zemsta, zemsta, zemsta na wroga,  
 Z Bogiem i choćby mimo Boga!

(Chór powtarza.)

I Pieśń mówi, ja pójdę wieczorem,  
 Naprzód braci rodaków gryść muszę,  
 Komu tylko zapuszczę kły w duszę,  
 Ten jak ja musi zostać upiorem.  
 Tak! zemsta, zemsta, etc. etc.

Potém pójdziem krew wroga wypijem,  
Ciało jego rozrąbiem toporem :  
Ręce nogi goździami przybijem,  
By niepowstał i niebył upiorem.

Z duszą jego do piekła iść musim,  
Wszyscy razem na duszy usiędziem,  
Póki z niej nieśmiertelność wydusim,  
Póki ona czuć będzie, gryść będziem.  
Tak! zemsta, zemsta, etc. etc.

X. LWOWICZ.

Konradzie, stój dla Boga, to jest pieśń pogańska.

KAPRAL.

Jak on okropnie patrzy, — to jest pieśń szatańska.

(Przestają śpiewać:)

KONRAD, z towarzyszeniem flotu:

Wznoszę się! lecę! tam, na szczyt opoki —  
Już nad plemieniem człowieczem,  
Między proroki.

Stąd ja przyszłości brudne obłoki  
 Rozcinam moją źrenicą, jak mieczem;  
 Rękami jak wichrami mgły jej rozdieram —  
 Już widno — jasno — z góry na ludy spozieram —  
 Tam wiega sybilińska przyszłych losów świata —  
 Tam, na dole!

Patrz, patrz, przyszłe wypadki i następne lata,  
 Jak drobne ptaki gdy orła postrzega.  
 Mnie orła na niebie!  
 Patrz jak do ziemi przypadają, biegą,  
 Jak się stado w piasek grzebie —  
 Za niemi, hej za niemi oczy me sokole,  
 Oczy błyskawice,  
 Za niemi szpony moje! — dostrzegę je, schwyczę.

Cóż to? jaki ptak powstał i roścacza pióra,  
 Zasłania wszystkich, okiem mię wyzywa,  
 Skrzydła ma czarne jak burzliwa chmura  
 A szerokie i długie nakształt tęczy łuku.  
 I niebo całe zakrywa —

To kruk olbrzymi — ktoś ty? — ktoś ty k roku?



Ktoś ty?—jam orzeź!—patrzy kruk—myśl moję płacze!  
Ktoś ty? — jam gromowłady! —  
Spójrzał na mnie — w oczy mię jak dymem uderzył,  
Myśli moje miesza, — płacze—

KILKU WIĘZNIOW.

Co on mówi—co—co to—patrz, patrz jaki błady.

(Porywają Konrada.)

Uspokoj się..

KONRAD.

Stój! stójcie! — jam się s krukiem zmierzył —  
Stójcie — myśli rozplączę —  
Pieśń skończę — skończę —

(Stania się.)

X. LWOWICZ.

Dosyć tych pieśni.

INNI.

Dosyć

KAPRAL.

Dosyć — Pan Bóg z nami—  
Dzwonek!—słyszycie dzwonek?—runt, runt pod bramami  
Goście ogień — do siebie!

JEDEN Z WIĘZNIOW, patrząc w okno.

Bramę odemknęli  
Konrad osłabł — zostawcie — sam, sam jeden w celi!  
(Uciekają wszyscy.)

## SCENA II.

IMPROWIZACYA.

KONRAD, po długiém milczeniu.

Samotność — cóż po ludziach, czym śpiewak dla ludzi?  
Gdzie człowiek, co z mej pieśni całą myśl wysłucha,  
Obejmie okiem wszystkie promienie jej ducha?  
Nieszczęsny kto dla ludzi głos i język trudzi:  
Język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie;  
Myśl z duszy leci bystro nim się w słowach złamie,  
A słowa myśl pochłona i tak drżą nad myślą,

Jak ziemia nad poŹknięta, niewidzialną rzeką,  
Z drzenia ziemi czyż ludzie głębi nurtów docieką,  
Gdzie pędzi czy się domyślą? —

Uczucie krąży w duszy, rozpala się, żarzy,  
Jak krew po swych głębokich, niewidomych cieśniach;  
Ile krwi tylko ludzie widzą w mojej twarzy,  
Tyle tylko z mych uczuć dostrzegą w mych pieśniach.

Pieśni ma, tyś jest gwiazdą za granicą świata!  
J wzrok ziemski, do ciebie wysłany za gońca,  
Choć śklanne wezmie skrzydła, ciebie niedolata,  
Tylko o twoją mleczną drogę się uderzy;  
    Domyśla się że to słońca,  
    Lecz ich niezliczy, niezmierzy.

Wam pieśni, ludzkie oczy, uszy niepotrzebne; —  
    Płynicie w duszy mej wnętrzościach,  
    Świećcie na jej wysokościach,  
Jak strumienie podziemne, jak gwiazdy nadniebne.

Ty Boże, ty naturo! dajcie posłuchanie. —

Godna to was muzyka i godne śpiewanie. —

Ja mistrz!

Ja mistrz wyciągam dźwięki!

Wyciągam aż w niebiosy, i kładę me dźwięki  
Na gwiazdach, jak na szklanych harmoniki krągach.

To nagłym to wolnym ruchem,

Kręcę gwiazdy moim duchem,

Milion tonów płynie; w tonów milionie

Każdy ton ja dobyłem, wiem o każdym tonie;

Zgadzam je, dzielę i łączę,

I w tęczę i w akordy i we strofy płacę,

Rozlewam je we dźwiękach i w błyskawic wstęgach. —

Odjąłem ręce, wzniosłem nad światy krawędzie,

I kręgi harmoniki wstrzymały się w pędzie.

Sam śpiewam, słyszę me śpiewy —

Długie, przeciągłe, jak wichru powiewy,

Przewiewają ludzkiego rodu całe tonie,

Jęczą żalem, ryczą burzą,

I wieki im głucho wtórzają,

A każdy dźwięk ten, razem gra i płonie,

Mam go w uchu mam go w oku,

Jak wiatr gdy fale kołysze,  
Po świstach lot jego słyszę,  
Widzę go w szacie obłoku.

Boga, natury godne takie pienie!  
Pieśń to wielka, pieśń-tworzenie,  
Taka pieśń jest siła, dzielność,  
Taka pieśń jest nieśmiertelność!

Ja czuję nieśmiertelność, nieśmiertelność tworzę,  
Cóż ty większego mogłeś zrobić — Boże?

Patrz jak te myśli dobywam sam z siebie,

Wcielam w słowa, one lecą,

Rozsypują się po niebie,

Toczą się, grają i świecą,

Już dalekie, czuję jeszcze,

Ich wdziękami się lubuję,

Ich okrągłość dźwiękiem czuję,

Ich ruch myślą odgaduję:

Kocham was me dzieci wieszcie!

Myśli moje! gwiazdy moje!

Czucia moje! wichry moje!

W pośrodku was jak ojciec wśród rodziny stoję,  
Wy wszystkie moje!

Depcę was wszyscy poeci,  
Wszyscy mędrce i proroki,  
Których wielbił świat szeroki.  
Gdyby chodzili dotąd śród swych dusznych dzieci,  
Gdyby wszystkie pochwały i wszystkie oklaski  
Słyszeli, czuli, i za szłusze znali;  
I wszystkie sławy każdodzienniej blaski,  
Promieniami na wieńcach swoich zapalali,  
S całą pochwałą muzyką i wieńców ozdobą,  
Zebraną z wieków tyła i s pokoleń tyła;  
Nieczuliby własnego szczęścia, własnej mocy,  
Jak ja dziś czuję, w tej samotnej nocy:  
Kiedy sam śpiewam w sobie,  
Śpiewam samemu sobie.

Tak! — czuły jestem, silny jestem i rozumny. —  
Nigdy nieczuły jak w tej chwili —  
Dziś mój zenit, moc moja dzisiaj się przesili,  
Dziś poznam, czym najwyższy, czyli tylko dumny;  
Dziś jest chwila przeznaczona,

Dziś najsilniej wyteżę duszy mej ramiona —  
To jest chwila Samsona,  
Kiedy więzień i ślepy dumał u kolumny.  
Zrzucę ciało i tylko jak duch wezmę pióra —  
Potrzeba mi lotu  
Wylecę s planet i gwiazd kołowrotu,  
Tam dojdę gdzie graniczą stwórca i natura.

I mam je, mam je, mam — tych skrzydeł dwoje;  
Wystarczają : — od zachodu na wschód je rozszerzę,  
Lewem o przeszłość prawem o przyszłość uderzę,  
I dojdę po promieniach uczucia — do Ciebie!

I zajrzę w uczucia twoje  
O Ty! o którym mówią że czujesz na niebie.  
Jam tu, jam przybył, widzisz jaka ma potęga  
Aż tu moje skrzydło sięga,  
Lecz jestem człowiek, i tam, na ziemi me ciało;  
Kochałem tam, w ojczyźnie serce me zostało. —

Ale ta miłość moja na świecie,  
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,  
Jak owad na róży kwieciec :

Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.  
 Ja kocham cały naród! — objąłem w ramiona,  
 Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,  
 Przycisnąłem tu do łona,  
 Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec;  
 Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,  
 Chcę nim cały świat zadziwić,  
 Niemam sposobu i tu przyszedłem go dociec.  
 Przyszedłem zbrojny całą myśli władzą,  
 Tej myśli co niebiosom twe gromy wydarła,  
 Sledziła chód twych planet, głąb morza rozwarła —  
 Mam więcej, tę Moc której ludzie nienadadzą,  
 Mam to uczucie, co się samo w sobie chowa  
 Jak wulkan, tylko dymi niekiedy przez słowa.

I Mocy tej niewziąłem z drzewa Edeńskiego,  
 Z owocu wiadomości złego i dobrego;  
 Nie z ksiąg ani z opowiadań,  
 Ani z rozwiązania zadań,  
 Ani s czarodziejskich badań,  
 Jam się tworcą urodziłem :  
 Stanął przyszyły siły moje,



Skąd do ciebie przyszły twoje,  
 Boś i ty po nie niechodził :  
 Masz, nieboisz się stracić i ja się nieboję.  
 Czyś ty mi dał, czy wziętem s kąd i ty masz — oko  
 Bystre, potężne : w chwilach mej siły — wysoko  
 Kiedy na chmur spójrzą ślaki,  
 I wędrownie słyszę ptaki,  
 Żeglujące na ledwie dostrzeżoném skrzydle;  
 Zechcę, i wnet je okiem zatrzymam jak w sidle —  
 Stado pieśń załośną dzwoni,  
 Lecz póki ich niepuszczę, twój wiatr ich niezgoni.  
 Kiedy spójrzę w kometę s całą mocą duszy,  
 Dopóki na nią patrzę z miejsca się nie ruszy.  
     Tylko ludzie skazitelni,  
     Marni, ale nieśmiertelni,  
 Nie służą mi, nieznają — nieznają nas obu,  
     Mnie i Ciebie,  
 Ja na nich szukam sposobu,  
     Tu w niebie.  
 Tę władzę, którą mam nad przyrodzeniem,  
     Chcę wyrzucić na ludzkie dusze,  
 Jak ptaki i jak gwiazdy rządzą mém skinieniem,

Tak bliznich rozrządzać muszę.

Nie bronią — broń odbije,

Nie pieśniami — długo rosną,

Nie nauką — prędko gnije,

Nie cudami — to zbyt głośno.

Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie;

Rządzić jak Ty wszystkiemi zawsze i tajemnie : —

Co ja zechcę, niech wnet zgadną,

Spełnią, tém się uszczęśliwią,

A jeżeli się sprzeciwią,

Niechaj cierpią i przepadną.

Niech ludzie będą dla mnie jak myśli i słowa,

S których gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa ; —

Mówią, że ty tak władasz !

Wiész zem myśli niepopsuł, mowy nieumorzył,

Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,

Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,

I większe, niżli Ty zrobiłbym dziwo,

Zanuciłbym pieśń szczęśliwą !

Daj mi rząd dusz ! — Tak gardzę tą martwą budową

Którą gmin światem zowie i przywykł ją chwalić,

Żem niepróbował dotąd czyli moje słowo,  
Niemogłoby jej wnet zwalić.

Lecz czuję w sobie, że gdybym miał wolę  
Scisnął, natężył i razem wyświecił,  
Możebym sto gwiazd zgasił a drugie sto wzniecił—  
Bo jestem nieśmiertelny! i w stworzenia kole  
Są inni nieśmiertelni; — wyższych niespotkałem. —  
Najwyższy na niebiosach! — Ciebie tu szukałem,  
Ja najwyższy s czujących na ziemnym padole.

Niespotkałem Cię dotąd — żeś Ty jest, zgaduję;  
Niech Cię spotkam i niechaj twą wyższość uczuję—  
Ja chcę władzy, daj mi ją, lub wskaż do niej drogę,  
O prorokach, dusz władcach, że byli, słyszałem,  
I wierzę; lecz co oni mogli, to ja mogę,  
Ja chcę mieć władzę jaką Ty posiadasz,  
Ja chcę duszami władać, jak Ty niemi władasz.

(Długie milczenie.)

(Z ironią.)

Milczysz, milczysz! wiem teraz, jam Cię teraz zbadał,  
Zrozumiałem coś ty jest i jakęś ty władał. —  
Kłamca kto Ciebie nazywał miłością,  
Ty jesteś tylko mądrością.

Ludzie myślą, nie sercem, twych drog się dowiedzą;  
Myślą, nie sercem, składy broni twej wysledzą —

Ten tylko kto się wrył w xięgi,  
W metal, w liczbę, w trupie ciało,  
Temu się tylko udało

Przywłaszczyć część twej potęgi.

Znajdzie truciznę, proch, parę,  
Znajdzie blaski, dymy, huki,  
Znajdzie prawność, i złą wiarę  
Na mędrki i na nieuki.

Mysłom oddałeś świata użycie,  
Serca zostawiasz na wiecznej pokucie,  
Dałeś mnie najkrótsze życie  
I najmocniejsze uczucie. —

(Milczenie.)

Czém jest me czucie ?

Ach iskrą tylko !

Czém jest me życie

Ach jedną chwilką !

Lecz te co jutro rykną, czém są dzisiaj gromy ?

Iskrą tylko.

Czém jest wiekow ciąg cały, mnie z dziejów wiadomy?

Jedną chwilką.

Z czego wychodzi cały człowiek, mały świątek?

Z iskry tylko.

Czém jest śmierć co rosproszy myśli mych dostatek?

Jedną chwilką.

Czém był On, póki światy trzymał w swoim łonie?

Iskrą tylko.

Czém będzie wieczność świata, gdy On go pochłonie?

Jedną chwilką. —

GŁOS Z LEWEJ STRONY.

Wsiąść muszę  
Na duszę  
Jak na koń.  
Goń! goń  
W cwał w cwał!

GŁOS SPRAWY.

Co za szwał!  
Brońmy go brońmy,  
Skrzydłem osłońmy  
Skoń.

Chwila i iskra, gdy się przedłuża, rospala;

Stwarza i zwala.

Śmiało, śmiało! tę chwilę rozdlużmy, rozdalmy,

Śmiało, śmiało! tę iskrę rozniećmy, rospalmy —

Teraz — dobrze — tak. Jeszcze raz Ciebie wyzywam,  
 Jeszcze po przyjacielsku duszę ci odkrywam.  
 Milczysz, — wszakżeś z Szatanem walczył osobiście?

Wyzywam Cię uroczyście.

Niegardź mną, ja niejeden, choć sam tu wzniesiony.  
 Jestem na ziemi sercem z wielkim ludem zbratan,  
 Mam ja za sobą wojska i mocy i trony;

Jeśli ja będę bluznierca,

Ja wydam Tobie krwawszą bitwę niżli Szatau;  
 On walczył na rozumy, ja wyzwę na serca.  
 Jam cierpiał, kochał, w mękach i miłości wzrosłem,  
 Kiedyś mnie wydarł osobiste szczęście,  
 Na własnej piersi ja skrwawiłem pięście,  
 Przeciw Niebu ich niewzniosłem.

ci.os.

Rumaka,  
 Przedzierzgnę w ptaka.  
 Orlemy pióry  
 Do gory!  
 W lot!

ci.os.

Gwiazdo spadająca!  
 Jaki szal,  
 W ołchtań cię strąca!

Teraz duszą jam w moję ojczyznę wcielony;

Ciałem połknąłem jej duszę,  
 Ja i ojczyzna, to jedno.  
 Nazywam się Milion—bo za miliony  
 Kocham i cierpię katusze.  
 Patrzę na ojczyznę biedną,  
 Jak syn na ojca wplecionego w koło;  
 Czuję całego cierpienia narodu,  
 Jak matka czuje w łonie bole swego płodu.  
 Cierpię, szaleję — a Ty mądrze i wesoło  
     Zawsze rządzisz,  
     Zawsze sądzisz,  
     I mówią że ty niebłądzisz!  
 Słuchaj, jeśli to prawda com z wiarą synowską  
 Słyszał na ten świat przychodząc,  
 Że Ty kochasz; — jeżeliś ty kochał świat rodząc,  
 Jeżeli ku zrodzonemu masz miłość ojcowską; —  
 Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt,  
 Któreś ty w arce zamknął i wyrwał s powodzi; —  
 Jeżeli to serce nie jest potwór co się rodzi  
 Przypadkiem, ale nigdy lat swych niedochodzi; —  
 Jeżeli pod rządem twoim czułość nie jest bezrząd,  
 Jeżeli w milion ludzi krzyjących • ratunku! •

Niepatrzysz jak w zawiśle zrównanie rachunku ; —  
 Jeśli miłość jest na co w świecie twym potrzebną ,  
 I nie jest tylko twoją omyłką liczebną...

CZOS.

Orla w hydrę!  
 Oczy mu wydrę,  
 Do szturmu dalej!  
 Dymi ! pali!  
 Ryk, gozmot !

CZOS.

Z jasnego słońca  
 Kometa błędu !  
 Gdzie koniec twego pędu ?  
 Bez końca bez końca !

Milczysz ! — Jam Ci do głębi serce me otworzył,  
 Zaklinam, daj mi władzę : — jedna część jej licha,  
 Część tego, co na ziemi osiągnęła pycha,  
 S tą jedną cząstką ileż jabyim szczęścia stworzył !  
 Milczysz ! — niedasz dla serca, dajże dla rozumu. —  
 Widzisz, żem pierwszy z ludzi i z aniołów tłumu,  
 Że Cię znam lepiej niżli twoje archanioły,  
 Wart żebyś ze mną władzą dzielił się na poły —  
 Jeślim niezgadł, odpowiedz — milczysz ! ja niekłamie.  
 Milczysz i ufasz, że masz silne ramie —  
 Wiedz że uczucie spali, czego myśl niekłamie —  
 Widzisz to moje ognisko : — uczucie,  
 Zbieram je, sciskam, by mocniej pałało,



Wbijam w żelazne woli mej okucie,  
Jak naboj w burzące działo.

GŁOS.

Ognia! pal.

GŁOS.

Litość! żal!

Odezwij się, — bo strzelę przeciw twej naturze :  
Jeśli jej w gruzy niezburzę,  
To strząsnę całym państw twoich obszarem,  
Bo wystrzelę głos w całe obręby stworzenia :  
Ten głos który s pokoleń, pojdzie w pokolenia :  
Krzyknę, żeś ty nie ojcem świata, ale...

GŁOS DJABŁA.

Carem !

(Konrad staje chwilę, ślania się i pada.)

DUCHY Z LEWEJ STRONY.

PIERWSZY.

Depc, chwytaj!

DRUGI.

Jeszcze dysze.

PIERWSZY.

Omdlał, omdlał, a nim

IV.

7.

Przebudzi się, dodusim.

DUCH Z PRAWEJ STRONY.

Precz—modlą się za nim.

DUCH Z LEWEJ.

Widzisz, odpędzają nas.

PIERWSZY Z LEWEJ.

Ty bestyo głupia!

Niepomogłeś mu słowo ostatnie wyrzygnąć,  
Jeszcze o jeden stopień w dumę go podźwignąć!  
Chwila dumy— ta czaszka już byłaby trupia.  
Bydź tak blisko tej czaszki! i niemożna deptać,  
Widzieć krew w jego ustach i niemożna chęptać!  
Najgłupszy z djabłów, tyś go wypuścił w pole drogi.

DRUGI.

Wróci się, wróci—

PIERWSZY.

Precz stąd bo wezmę na rogi  
I będę cię lat tysiąc niosł, i w paszczę samą  
Szatana wbiję.

DRUGI.

Cha! cha! straszysz ciociu! mamu!

Ja dziecko, będę płakać—(płacze)—masz—(uderza rogiem)

A co niechybił?

Lec i niewyfaż s pickła—aha, do dna przybił—

Rogi me, brawo, rogi—

PIERWSZY.

Sacrédiu!

DRUGI, uderza.

Masz.

PIERWSZY.

W nogi.

(Słysząc stukanie i klucz we drzewiach.)

DRUGI DUCH.

Pop, klecha, przyczajmy się i schowajmy rogi.

**SCENA III.**

(**WCHODZĄ KAPRAŁ, BRACISZEK BERNARDYN PIOTR,  
JEDEN WIĘZIEN.**)

**X. PIOTR.**

**W imię Ojca i Syna i świętego Ducha.**

**WIĘZIEN.**

**On zapewne osłabiał, — Konradzie! — niesłucha.**

**X. PIOTR.**

**Pokój temu domowi, pokój grzesznikowi.**

**WIĘZIEN.**

**Dla Boga, on osłabiał, patrz — miota się, dąsa,  
To jest wielka choroba, patrz, on usta kąsa.**

(**X. Piotr modli się.**)

**KAPRAŁ, do więźnia.**

**Mój Panie, idźcie sobie a nas tu zostawcie.**

**WIĘZIEN.**

**Ale dla Boga! próżnych modlitew nieprawcie;**

Podejmijcie go z ziemi, położmy do łożka ;  
Xiężę Pietrze.

X. PIOTR.

Tu zostaw.

WIĘZIEN.

O to jest poduszka. (kładzie Konrada.)

E ja wiem co to znaczy — Czasem nań napada  
Takie szaleństwo : długo śpięwa , potem gada ,  
A jutro zdrów jak ryba. Lecz kto wam powiedział ,  
Że on osłabiał ?

KAPRAŁ.

Panie, otbyś cicho siedział.

Niech brat Piotr pomodli się nad waszym kolegą ;  
Bo ja wiem że tu było — coś — tu niedobrego.  
Gdy runt odszedł, w tej celi hałas posłyszałem,  
Spójrzę dziurką od klucza, a co tu widziałem,  
To mnie wiedzieć. Pobiegnę do mojego kmotra,  
Bo on człowiek pobożny, do braciszka Piotra —  
Patz na tego chorego : niedobrze się dzieje —

WIĘZIEN.

Dalibóg niepojmuję — nic, i oszaleję.

KAPRAŁ.

Oszaleć? — Ej panowie, strzeżcie się panowie!  
 U was usta wymowne, wiele nauk w głowie,  
 A patrzcie, głowa mądra w prochu się taczała,  
 I s tych ust, tak wymownych, patrzaj — piana biała.  
 Słyszałem co on śpiewał, ja słów niepojąłem,  
 Lecz było coś u niego w oczach i nad czołem.  
 Wierz mi, że s tym człowiekiem niedobrze się dzieje —  
 Byłem ja w legionach, nim wzięto w rekruty,  
 Brałem szturmem fortece, klasztory, reduty;  
 Więcej dusz wychodzących z ciała ja widziałem,  
 Niżli Wać Pau przeczytał książek w życiu całem :  
 A to jest rzecz niemała widzieć jak człek kona.  
 Widziałem ja na Pradze xięży zarzynanych,  
 I w Hiszpanii żywcem z wieży wyrzuczanych;  
 Widziałem matek szablą rozrywane łona,  
 I dzieci konające na kozackich pikach,  
 I Francuzow na śniegu i Turkow na polu,  
 I wiem co w konających widać męczennikach,

A co w złodzieju, zbójcy, Turku lub Moskalu.  
 Widziałem rozstrzelanych co patrzyli śmieie  
 W rurę broni, niechcieli na oczy zasłony ;  
 A jak padli na ziemię, widziałem w ich ciele  
 Strach, co za życia wstydem i pychą więziony,  
 Wyszedł s trupa jak owad i pełzał w około :  
 Gorszy strach, niż ten, który tchórza w bitwie nęka,  
 Taki strach, że dość spojrzeć na zamarte czoło,  
 Aby widzieć że dusza dąsa się i lęka,  
 Gardzi bolem i cierpi, i wieczna jej męka.  
 A więc mój Panie myślę że twarz umarłego,  
 Jest jak patent wojskowy do świata przyszłego ;  
 I poznasz zaraz jak on tam będzie przyjęty,  
 W jakiej randze i stopniu, święty czy przeklęty. —  
 A więc tego człowieka i pieśń i choroba  
 I czoło i wzrok, wcale mi się niepodoba.  
 Otoż Wać Pan spokojnie idź do swojej celi,  
 My z bratem Piotrem będziemy przy chorym siedzieli.

(Więzień odchodzi.)

KONRAD.

Przepaść—tysiąc lat—pusto—dobrze—jeszcze więcej!

Ja wytrzymam i dziesięć tysięcy —  
 Modlić się? — tu modlitwa nieprzyda się na nic —  
 I byłaby taka przepaść bez dna i bez granic? —  
 Niewiedziałem — a była.

KAPRAŁ.

Słyszysz jak on szlocha.

X. PIOTR.

Synu mój, tyś na sercu, które ciebie kocha.

(Do Kaprała.)

Wydź z tąd i patrz, ażeby nikt tędy niechodził,  
 I poki s tąd niewyjdę, nikt mi nieprzeszkodził.

(Kaprał odchodzi.)

KONRAD, zrywa się.

Nie! — oka mi niewydarł! mam to silne oko,  
 Widzę stąd i stąd nawet, choć ciemno — głęboko.  
 Widzę ciebie Rollison, — bracie, cóż to znaczy?  
 I tyś w więzieniu, zbity, krwią cały zbryzgany,  
 I ciebie Bóg niesłuchał i tyś już w rozpacz,  
 Szukasz noża, próbujesz głowę tłuc o sciany: —  
 « Ratunku! » — bóg niedaje, ja ci dać niemogę,



Oko mam silne, spójrzę, może cię zabiję—  
 Nie— ale ci pokażę okiem— śmierci drogę.  
 Patrz, tam masz okno, wybij, skocz, zleć i złam szyję,  
 I ze mną tu leć w głębie, w ciemność—lećmy na doł—  
 Otchłań— otchłań ta lepsza niżli ziemi padoł;  
 Tu niema braci, matek, narodów,— tyranów—  
 Pójdź tu.

X. PIOTR.

Duchu nieczysty, znam cię po twym jądzie,  
 Znowuś tu najchytrzejszy ze wszystkich szatanów,  
 Znowu w dom opuszczony leziesz brzydki gadzie.  
 Tyś wpełznął w jego usta, na zgubęś tu wpełznął,  
 W Imie Pańskie jam ciebie pojmał i ochęłznął.  
 Exorciso...

DUCH.

Stój nieklnij— stój, odstęp od progu,  
 Wyjdę —

X. PIOTR.

Niewyjdiesz aż się upodoba Bogu.  
 Lew s pokolenia Judy, tu Pan— on zwycięża :  
 Sieć na lwa zastawiłeś i w twym własnym wniku

Złowiłeś się — Bóg ciebie złowił w tym grzeszniku.  
 W jego ustach chcę tobie najsrorszy cios zadać :  
 Kłamco, ja tobie każę, musisz prawdę gadać.

DUCH.

Parle-moi donc français, mon pauvre capucin,  
 J'ai pu dans le grand monde oublier mon latin.  
 Mais étant saint, tu dois avoir le don des langues —  
 Villeicht sprechensie deutch, was murmeln sie so bang —  
 What it is, — Cavalleros, rispondero Jo.

X. PIOTR.

Ty to z ust jego wrzeszczysz stujęczyczna zmijo.

DUCH.

C'est juste, dans ce jeu, nous sommes de moitié,  
 Il est savant, et moi, diable de mon métier.  
 J'étais son précepteur et je m'en glorifie,  
 En sais-tu plus que nous, parle — je te défie.

X. PIOTR.

W imie Ojca i Syna i Ducha — świętego.

DUCH.

Ale stój, stój mój xiężc, stój, już dosyc tego ;  
Tylko xiężuniu niemęcz na próżno : — czyś szatan,  
Żeby tak męczyc !

X. PIOTR.

Ktoś ty?

DUCH.

Lukrecy, Leviatan,  
Voltaire, alter Fritz, Legio sum.

X. PIOTR.

Coś widział?

DUCH.

Zwierza.

X. PIOTR.

Gdzie?

DUCH.

W Rzymie,

X. PIOTR.

Niesłucha mię — wróćmy do pacierza.

(Modli się.)

DUCH.

Ale słucham.

X. PIOTR.

Gdzieś widział więźnia?

DUCH.

Mówię, w Rzymie —

X. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Xiężę, na honor, na kochanki imie,  
Mej kochanki czarniutkiej, co tak do mnie wzdycha —  
A wiesz ty jak się zowie moja luba? — Pycha.  
Jakiś ty nieciekawy!

X PIOTR, do siebie.

Przeciwia się duchy ;  
Upokorzmy się Panu i zrobmy akt skruchy.

(Modli się.)

DUCH.

Ale co tam masz robić, ja sam stąd wyruszę,  
Przyznaję się że wlałem niezgrabnie w tę duszę.  
Tu mnie kole — ta dusza jest jak skóra jeża,  
Włożyłem ją na wywrót, kolcami do kiszek.

(Xiądz modli się.)

Aleś bo i ty majster, choć prosty braciszek ;—  
Osły powinni ciebie obrać za Papieża.  
Głupstwo stawiają w kościele naprzód, jak kolumny,  
A ciebie kryją w kątku : świecznik, gwiazdę blasku !

X. PIOTR.

Tyranie i pochlebco, i podły i dumny,  
Żebyś pierś ugryzł, u nog wleciesz się po piasku.

DUCH, śmiejąc się.

A ha! gniewasz się pacierz przerwałeś — da capo ;  
Żebyś sam widział jak ty śmiesznie kręcisz łapą —

IV.

8.

Istny niedźwiadek, gdy się broni od komarow! —  
 On trzepie swoje, — no więc—dosyć już tych swarow;  
 Znam twoją moc i chcę się tobie wypowiedać,  
 Będę ci o przeszłości i przyszłości gadać. —  
 A wiesz ty co o tobie mówią w całym mieście? —

(Xiędz modli się.)

A wiesz ty, co to będzie s Polską za lat dwieście? —  
 A wiesz dla czego tobie przeor tak niesprzyja? —  
 A wiesz w Apokalipsie co znaczy bestya? —  
 Milczy i trzepie — oczy aż strach we mnie wlepił.  
 Powiedz Xiędzuniu, czegoś do mnie się uczepił?  
 Co ja winien że takie mam odbierać chłosty,  
 Czy ja jestem król djabłow, — wszak ja djabeł prosty.  
 Zważ; czy to prawnie sługę ukarać za Pana,  
 Wszakże ja tu przyszedłem z rozkazu Szatana;  
 Trudno mu się tłumaczyć, bo z nim nie brat zabrat,  
 Jestem jako Kreishauptman, Gubernator, Landrat: —  
 Każą duszę brać w areszt, biorę, sadzę w ciemność;  
 Zdarza się przy tém duszy jaka nieprzyjemność,  
 Ale czyż z mojej winy? — jam ślepe narzędzie;  
 Tyran szelma da ukaz, pisze: • Niech tak będzie • —  
 Czyż to mnie miło męczyć, — mnie samemu męka. —

Ach—(wzdycha) jak to źle bydź czułym—Ach serce mi pęka.  
Wierz mi : gdy pazurami grzeszuika odzieram,  
Nieraz ogonem, ah! ah! — Źzy sobie ocieram.

(Xiądz modli się.)

A wiesz że jutro będziesz bity jako Haman ?

X. PIOTR.

In nomine Patris et Filli et Spiritus sancti Amen.  
Ego te exorciso spiritus immunde—

DUCH.

Xiężę stój—słucham—gadam—stój—jedną sekundę!

X. PIOTR.

Gdzie jest nieszczęsny więzien co chce zgubić duszę?—  
Milczysz—exorciso te—

DUCH.

Gadam, gadam—muszę.

X. PIOTR.

Kogo widziałeś?

DUCH.

Więznia.

X PIOTR.

Jakiego?

DUCH.

Grzesznika.

X. PIOTR.

Gdzie? —

DUCH.

Tam, w drugim klasztorze.

X. PIOTR.

W jakim?

DUCH.

Dominika.

Ten grzesznik już przeklęty prawem mnie należy.



X. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

On już umarły.

X. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Chory leży.

X. PIOTR.

Exorciso te —

DUCH.

Gadam gadam, skaczę — śpiewam —  
Tylko nieklnij — jak gadać? — dusisz — ledwie ziewam.

X. PIOTR.

Mów prawdę.

DUCH.

Grzesznik chory, lata bez pamięci,  
I jutro rano szyję niezawodnie skręci.

X. PIOTR.

Kłamiesz.

DUCH.

Poświadczy godny świadek kmostr Belzebub,  
Pytaj go, męcz—niewinnej duszy mojej niegub.

X. PIOTR.

Jak ratować grzesznika?

DUCH.

Bodajesz zdechł klecho,  
Niepowiem.

X. PIOTR.

Exorciso —

DUCH.

Ratować pociechę.

X. PIOTR.

Dobrze, gadaj wyraźnic,—czego mu potrzeba?

DUCH.

Mam chrypkę, niewymówię.

X. PIOTR.

Mów!

DUCH.

Mój Panie! królu!

Daj odpocząć—

X. PIOTR.

Mów, czego potrzeba—

DUCH.

Xiężulu,

Ja tego niewymówię.

X. PIOTR.

Mów!

DUCH.

He — Wina — Chleba —

X. PIOTR.

Rozumiem, chleba twego i krwi twojej Panie —  
Pojdę, i daj mi spełnić twoje rozkazanie.

(Do ducha.)

A teraz zabierz s sobą twe złości i błędy,  
Skąd wszedłeś i jak wszedłeś, idź tam i tamtędy.

(Duch uchodzi.)

KONRAD.

Dźwigasz mię! — ktoś ty? — strzeż się, sam spadniesz w te  
[ doły.

Podaje rękę — lecmy — w górę jak ptak lecę —  
Mile oddycham wonią — promieniami świecę.  
Któż mi dał rękę? — dobrzy ludzie i anioły;  
Skądże litość, wam do mnie schodzić do tych dołów  
Ludzie? — Ludźmi gardziłem, nieznałem aniołów.

X. PIOTR.

Modl się, bo strasznie Pańska dotknęła cię ręka.  
 Usta, któremiś wieczny Majestat obraził,  
 Te usta zły duch słowy szkaradnemi skaził;  
 Słowa głupstwa, najsroźsza dla mądrych ust męka,  
 Oby ci policzone były za pokutę,  
 Obyś o nich zapomniał —

KONRAD.

Już są tam — wykute.

X. PIOTR.

Obyś grzeszniku nigdy sam ich niewyczytał,  
 Oby cię o znaczenie ich Bóg niezapytał —  
 Modl się; myśl twoja w brudne obleczona słowa,  
 Jak grzeszna s tronu swego strącona królowa,  
 Gdy w żebraczej odzieży, okryta popiołem,  
 Odstoi czas pokuty swojej przed kościołem ;

Znowu na tron powróci stroj królewski wdzieje,  
 I większym niżli pierwej blaskiem zajasnieje.  
 Usnął—(kłęka)—Twe miłosierdzie Panie jest bez granic.

(Pada krzyżem.)

Panie, o tom ja sługa dawny, grzesznik stary,  
 Sługa już spracowany i niezgodny na nic.  
 Ten młody, zrob go za mnie sługą twojej wiary,  
 A ja, za jego winy, przyjmę wszystkie kary.  
 On poprawi się jeszcze, on wsławi twe Imię,  
 Modlmy się, Pan nasz dobry! Pan ofiarę przyjmie.

(Modli się.)

(W bliskim kościele za ścianą, zaczynają śpiewać pieśń Bożego Narodzenia. Nad Xiędzem Piotrem chór Aniołów na notę . . . Anioł pasterzom mówił .).

CHÓR ANIOŁÓW, głosy dzieciinne.

Pokój temu domowi  
 Spoczynek grzesznikowi.

Sługo! sługo pokorny cichy,  
 Wniosłeś pokój w dom pychy  
 Pokój temu domowi.

ARCHANIÓŁ PIÉRWSZY, na notę : « Bóg nasz ucieczką. »

Panie on zgrzeszył, przeciwko tobie zgrzeszył on bardzo,

ARCHANIÓŁ DRUGI.

Lecz płaczą nad nim, modlą się za nim, twoi Anieli.

ARCHANIÓŁ PIÉRWSZY.

Tychzdepcó Panie, tych złamó Panie, którzy twé święte  
[ sądy pogardzą,

ARCHANIÓŁ DRUGI.

Ale tym daruj, co świętych sądów twych niepojéli.

ANIÓŁ.

Kiedym z gwiazdą nadziei,

Leciał świecąc Judei,

Hymn Narodzenia śpiewali Anieli :

Mędrcy nas niewidzieli,  
Królowie niesłyszeli.

Pastuszkowie postrzegli,  
I do Betlejem biegli :

Pierwsi wieczną mądrość witali  
Wieczną władzę uznali,  
Biedni, prosci i mali.

ARCHANIÓŁ PIÉRWSZY.

Pan gdy ciekawość, dumę i chytrość w sercu Aniołów sług  
[ swych obaczył,  
Duchom wieczystym, Aniołom czystym, Pan nieprzebaczył.  
Runęły z niebios, jak deszcz gwiazdzisty Aniołów tłumy,  
I deszczem lecą za nimi co dzień, mędrcom rozумы.

CHÓR ANIOŁÓW.

Pan małuczkim objawia,  
Czego wielkim odmawia.

Litość ! Litość ! nod synem ziemi,  
On był między wielkimi,  
Litość nad synem ziemi.



ARCHANIÓŁ DRUGI.

On sądow twoich, niechodził badać jako ciekawy,  
Nie dla mądrości ludzkiej on badał, ani dla sławy.

ARCHANIÓŁ PIÉRWSZY.

On Cię niepoznał, on cię nieuczył, Panie nasz wielki!  
On Cię niekochał, on cię niewezwał, nasz zbawicielu.

ARCHANIÓŁ DRUGI.

Lecz on szanował imię Najświętszej twej Rodzicielki,  
On kochał naród, on kochał wiele, on kochał wielu.

ANIÓŁ.

Krzyż w złoto oprawiony,  
Zdobi królów korony.

Na piersi mędrcom błyszczy jak zorze;

A w duszę wnieść niemoże:

Oświeć, oświeć ich Boże!

CHÓR ANIOŁÓW.

My tak ludzi kochamy,  
Tak z nimi bydź żądamy!

Wynani od mędrków i króli,  
Prostaczek nas przytuli,  
Nad nim dzień, noc, śpiewamy.

CHÓR ARCHANIOŁÓW.

Podnieś tę głowę, a wstanie s prochu, niebios dosięże,  
I dobrowolnie padnie, i uczi krzyża podnoże;  
Wedle niej cały świat u stop krzyża niechaj poleże,  
I niech Cię wsławi, żeś sprawiedliwy i litościwy, Pan nasz, o Boże!

OBADWA CHÓRY.

Pokoj, pokoj prostocie,  
Pokornej, cichej cnocie!

Sługo, sługo pokorny, cichy,  
Wniosłeś pokoj w dom pychy,  
Pokoj grzesznemu sierocie.

SCENA IV.

DÓM WIEJSKI PODE LWOWEM.

(Pokój sypialny — Ewa młoda panienka wbiega, poprawia kwiaty przed obrazem Najświętszej Panny, klęka i modli się — wchodzi Marcellina.)

MARCELLINA.

Modlisz się jeszcze dotąd! — czas spać, północ biega.

EWA.

Jużem się za ojczyznę moję pomodliła,  
 Jak nauczono, i za ojca i za mamę;  
 Zmówmy jeszcze i za nich pacierze też same.  
 Choć oni tak deleko, ale to są dziatki,  
 Jednej ojczyzny naszej, Polski, jednej matki.  
 Litwin co dziś tu przybył, uciekł od Moskali;  
 Strach słyszeć co tam oni z nimi wyrabiali.  
 Zły car kazał ich wszystkich do ciemnicy wsadzić,  
 I jak Herod chce całe pokolenie zgładzić.  
 Litwin ten bardzo ojca naszego zasmucił,

Poszedł w pole, i dotąd z przechadzki niewrócił.  
 Mama na mszę posłała i obchód żałobny,  
 Bo wielu z nich umarło. — Ja pacierz osobny  
 Zmówię za tego, co te piosenki ogłosił;

(Pokazując książkę.)

I on także w więzieniu, jak nam gość donosił.  
 Te piosenki czytałam; niektóre są piękne —  
 Jeszcze pójdę przed Matką Najświętszą uklęknę,  
 Pomodłę się za niego; kto wie czy w tej chwili,  
 Ma rodziców, żeby się za nim pomodlili.

(Marcellina odchodzi.)

(Ewa modli się i usypia.)

#### ANIÓŁ.

Lekko i cicho, jak lekkie sny zlećmy.

#### CHÓR ANIOŁÓW.

Braciszka miłego sen rozweselmy,  
 Sennemu pod głowę skrzydło podścielmy,  
 Oczami, gwiazdami, twarz mu oświećmy,

Spiewając i grając, latajmy wiankiem,  
Nad czystym, nad cichym, naszym kochankiem.  
Rączęta liliowe za liście splećmy,  
Za róże kwitnące czoła rozniećmy,  
S pod wstążek gwiazdzistych włosów nasz rozwiążmy,  
Ropuszczymy w promienie, rozlejmy w wonie;  
Kwitnącym, pachnącym, żyjącym wiankiem,  
Kochanka naszego piersi okrążmy,  
Kochanka naszego otulmy skronie.  
Spiewając i grając latajmy wiankiem,  
Nad czystym, nad cichym naszym kochankiem.

EWA, widzenie.

Deszczyk tak świeży, miły, cichy jak rosa,  
I skąd ten deszczyk — tak czyste Niebiosa,  
Jasne niebiosa! —  
Krople zielone, kraśne — trawki, równianki,  
Roże, lilie, wianki  
Obwijają mię w koło. — Ach jaki sen wonny,  
Sen lekki, słodki, — oby był dozgonny.

Rózo błyszcząca, słoneczna,

Lilio przezysta, mleczna!

Ty nie z ziemi: — tam rosłaś, nad białym obłokiem.

Narcyzie, jakim snieżnym patrzysz na mnie okiem;

A te błękitne kwiatki pamiętek,

Jak źrenice niewiniątek —

Poznałam—kwiatki moje—sama polewałam,

W moim ogródku wczora nazbierałam,

I uwieńczyłam Matki Boskiej skronie,

Tam nad łóżkiem na obrazku.

Widzę— to Matka Boska — cudowny blasku!

Pogląda na mnie, bierze wianek w dłonie,

Podaje Jezusowi, a Jezus dziecko,

Z uśmiechem rzuca na mnie kwiecie —

Jak wypiękniały kwiatki — jak ich wiele — krocie,

A wszystkie w przelocie

Szukają na powietrzu siebie

Moje kochanki!

I same plotą się w wianki.

Jak tu mnie miło, jak w niebie;

Jak tu mnie dobrze, mój Boże; —

Niech mię na zawsze ten wianek otoczy,

Niech zasnę, umrę, patrząc w te róże,  
W te białe narcyzy oczy.

Róża, ta róża żyje!  
Wstąpiła w nią dusza,  
Główką lekko rusza,  
Jaki ogień z niej bije.

To rumieniec żyjący, — jak zorzy wniscie.  
Smieje się, jak na uśmiech rozwija liście,  
Rostuła między liściem dwoje ust z koralu,  
Mówi, coś mówi — jak cicho, jak skromnie.  
Co ty różo szepcesz do mnie?  
Zbyt cicho, smutnie — czy to głos żalu?  
Skarżysz się żeś wyjęta z rodzinnej trawki?  
— Niewzięłam ciebie dla mojej zabawki,  
Jam tobą skronie Matki Najświętszej wieńczyła,  
Jam po spowiedzi wczora łzami cię poiła;  
A s twoich ust koralu,  
Wylatują promieniem  
Iskierka po iskierce —  
Czy taka światłość jest twojém pieniem?  
Czego chcesz róża miła?

RÓŻA.

Weź mnie na serce.

ANIOŁOWIE.

Rozwiążmy, rosplećmy anielski wianek.

RÓŻA.

Odwijam me skrzydła, wyplatam czoło.

ANIOŁOWIE.

My w niebo do domu lećmy wesoło.

RÓŻA.

Ja będę ją bawił nim błysnie ranek,  
Na sennem jej sercu złożę me skronie:  
Jak święty apostoł, Pański kochanek,  
Na boskiem Chrystusa spoczywał łonie.

## SCENA VII.

CELA XIĘDZA PIOTRA.

X PIOTR.

(Modli się leżąc krzyżem.)

Panie! czémże ja jestem przed twojém obliczem? —  
Prochem i niczem;



Ale, gdym Tobie moję nicość wyspowiadał,  
Ja proch, będę z Panem gadał.

WIDZENIE.

Tyran wstał — Herod! — Panie, cała Polska młoda,  
Wydana w ręce Heroda.

Co widzę — długie, białe, dróg krzyżowych biegi,  
Drogi długie—niedojrzeć—przez puszcze, przez sniegi—  
Wszystkie na północ; — tam, tam w kraj daleki  
Płyną jak rzeki.

Płyną: — ta droga prosto do żelaznej bramy,  
Tamtą jak strumień wpadła pod skałę, w te jamy,  
A tamtej ujście w morzu.—Patrz! po drogach leci  
Tłum wozów—jako chmury wiatrami pędzone,  
Wszystkie tam w jedną stronę.

Ach Panie to nasze dzieci,  
Tam na północ — Panie, Panie!  
Takiż to los ich — wygnanie!

I dasz ich wszystkich wygubić za młodu,  
I pokolenie nasze zatracisz do końca? —  
Patrz — ha — to dziecko uszło — rośnie — to obrońca!

Wskrziesiciel narodu,—  
 Z matki obcej; krew jego, dawne bohaterzy,  
 A imie jego będzie czterdzieści i cztery.

Panie ! czy przyjścia jego nieracysz przyspieszyć ?

Lud mój pocieszyc ?—

Nie ! lud wycierpi.—Widzę ten motłoch—tyrany,  
 Zbojce—biegą—porwali—mój Narod związany  
 Cała Europa wleczę, nad nim się urąga—

« Na trybunał ! »—Tam zgraja niewinnego wciąga.

Na trybunale gęby, bez serc, bez rąk : sędzie —

To jego sędzie !

Krzyczą Gal, Gal sędzić będzie.

Gal w nim winy nieznalazł i—umywa ręce,

A króle krzyczą potęp i wydaj go męce ;

Krew jego spadnie na nas i na syny nasze

Krzyżuj syna Maryi, wypuść Barabasze :

Ukrzyżuj, — on cesarza koronę znieważa,

Ukrzyżuj,, — bo powiemy żeś ty wróg cesarza.

Gal wydał — już porwali — już niewinne skronie

Zakrwawione, w szyderskiej, cierniowej koronie ,

Podnieśli przed świat caży; — i ludy się zbiegły —  
Gal krzyczy : oto naród wolny, niepodległy !

Ach Panie, już widzę krzyż — ach jak długo, długo  
Musi go nosić — Panie zlituj się nad sługą.  
Daj mu siły, bo w drodze upadnie i skona —  
Krzyż ma długie na całą Europę ramiona,  
Z trzech wyschłych ludow, jak z trzech twardych drzew  
[ ukuty. —

Już wleką; już mój Narod na tronie pokuty —  
Rzekł : « pragnę » — Rakus octem, Borus żółcią poi,  
A matka Wolność u nóg zapłakana stoi.  
Patrz oto żołdak Moskal z kopią przyskoczył,  
I krew niewinną mego narodu wytoczył?  
Cożes zrobił najgłupszy, najsroższy z siepaczy !  
On jeden poprawi się, i Bóg mu przebaczy.

Mój kochanek! już głowę konającą spusił,  
Wołając Panie! Panie! za coś mię opusił!  
On skonał!

( Słychać chóry aniołów — daleki śpiew Wielkonocnej pieśni — na końcu  
słychać : aleluja! aleluja! »

Ku niebu, on ku niebu, ku niebu ulata!  
 I od stop jego wionęła,  
 Biała jago śnieg szata —  
 Spadła, — szeroko — cały świat się w nią obwinał.  
 Mój kochanek na niebie, z przed oczu nie zginał.  
 Jako trzy słońca błyszcą jego trzy źrenice,  
 I ludom pokazuje przbitą prawicę.

Ktoż ten mąż? — To namiestnik na ziemskim padole.  
 Znałem go, — był dzieckiem — znałem  
 Jak urosł duszą, i ciałem.  
 On ślepy, lecz go wiedzie anioł pachole.  
 Mąż straszny — ma trzy oblicza  
 On ma trzy czoła.  
 Jak baldakim rospięta xięga tajemnicza  
 Nad jego głową, osłania lice.  
 Podmożne jego są trzy stolce.  
 Trzy końce świata drżą gdy on woła;  
 I słyszę z nieba głosy jak gromy :  
 To namiestnik wolności na ziemi widomy!  
 On to na sławie zbuduje ogromy

Swego kościoła!  
Nad ludy i nad króle podniesiony;  
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony :  
A życie jego — trud trudów,  
A tytuł jego — lud ludów ;  
Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,  
A imię jego czterdzieści i cztery.  
Sława! sława! sława!

(Zasypia.)

ANIOŁOWIE, schodzą widomie.

Usnął — Wyjmijmy z ciała duszę, jak dziecinę  
Senną z kolebki złotej, i zmysłów sukienkę  
Lekko zwłeczmy; ubierzmy w światło jak jutrzrenkę,  
I lećmy. Jasną duszę nieśmy w niebo trzecie,  
Ojcu naszemu złożyć na kolanach dziecie;  
Niech uświęci sennego ojcowską pieśczętą,  
A przed ranną modlitwą, duszę wrócim życiu,  
I znowu w czystych zmysłów otulim powiciu,  
I znowu złożym w ciało, jak w kolebkę złotą.

IV.

10.

SCENA VI.

POKOJ SYPIALNY WSPANIAŁY — SENATOR OBRACA SIĘ NA  
ŁOŻU I WZDYCHA — DWOCH DJABŁÓW NAD GŁOWĄ.

DJABEŁ I'.

Spił się a nie chce spać,  
Muszę tak długo stać,  
Łajdaku cicho leż!  
Czy go tam kole jeż?

DJABEŁ II'.

Syp mu na oczy mak.

DJABEŁ I'.

Zasnął, wpadnę jak zwierz.

DJABEŁ II'.

Jako na wróbla ptak.

OBADWAJ.

Duszę do piekła wlec,  
Wężami smagać, piec,

BELZEBUB.

Wara!

DWAJ DJABŁY.

Coś ty za kmoir?

BELZEBUB.

Belzebub.

DWA DJABŁY.

— No, i coż?

BELZEBUB.

Zwierzyny mi niepłosz.

**DJABEŁ I'.**

Ale gdy zaśnie łotr,  
Do mnie należy sen?

**BELZEBUB.**

Jak ujrzy noc i żar,  
Srogość i mnogość kar,  
Złęknie się naszych scen,  
Przypomni jutro sen,  
Może poprawić się,  
Jeszcze daleko zgon.

**DJABEŁ II', wyciągając szpony.**

Pozwol zabawić się —  
Co ty o niego drżysz,  
Gdy poprawi się on,  
Ja każę święcić się,  
I wezmę w ręce krzyż.

**BELZEBUB.**

Jak zbyt nastraszyś raz,



Gotów przypomnieć sen,  
Gotów oszukać nas  
Wypuścisz ptaka z rąk.

DJABEŁ I', pokazując sennego.

Ależ braciszek ten,  
Ten mój najmilszy syn,  
Będzież on spał bez mąk?  
Niechcesz? — ja męczę sam.

BELZEBUB.

Łotrze, a znasz mój czyn?  
Od Cara zwierzchność mam!

DJABEŁ I',

Pardon — coż każesz Waść?

BELZEBUB.

Możesz na duszę wpaść,  
Możesz ją w pychę wzdąć,

A potém w hańbę pchnąć,  
Możesz w pogardzie wlec,  
I szyderstwami siec,  
Ale o piekło cyt!  
My lećmy — fit, fit, fit.

(Odlatuje.)

DJABEŁ I.

Więc ja za duszę cap;  
A ha, łajdaku drżysz!

DJABEŁ II'.

Tylko ją bierz do łap,  
Lekko, jak kotek mysz.

## WIDZENIE SENATORA.

SENATOR, przez sen.

Pismo! — to do mnie — reskrypt Jego Carkiej Mości!  
Własnoręczny, — ha! ha! ha! — rubli sto tysięcy.  
Order! — gdzie — lokaj przypnij — tu. Tytuł xiążęcy!  
A! — a! — Wielki marszałku; a! — pękną z zardrości.

(Przewraca się.)

Do Cesarza! — przedpokoj — oni wszyscy stoją;  
 Nienawidzą mnie wszyscy, kłaniają się, boją.  
 Marszałek—Grand Controleur— ledwie poznasz, w masce.

Ach jakie lube szemrania,

Do koła lube szemrania :

Senator w łasce, w łasce, w łasce, w łasce, w łasce.

Ach niech umrę, niech umrę wśród tego szemrania,

Jak wśród nałożnic moich łoskotania.

Każdy się kłania,

Jestem duszą zebrania.

Patrzą na mnie, zazdroszczą — nos w górę zadzieram,

O rozkoszy! umieram, z rozkoszy umieram!

(Przewraca się.)

Cesarz! — Jego Imperatorska Mość — a! Cesarz wchodzi,

A! — Co? — niepatrzy! zmarszczył brwi — spójrzył ukosem?

Ach — najjaśniejszy Panie — ach! — niemogę głosem —

Głos mi zamarł — ach! dreszcz, pot, — ach! dreszcz, ziębi,

[ chłodzi. —

Ach Marszałek! — co? do mnie odwraca się tyłem,

Tyłem, a! senatory, dworskie urzędniki!

Ach umieram, umarłem, pochawany, zgniłem,

I toczą mnie robaki, szyderstwa, żarciki.

Uciekają ode mnie. Ha! jak pusto! głucho.  
Szambelan szelma, szelma! patrz, wyszczyrza zęby—  
Dbrum — tén uśmiech jak pajak, wleciał mi do gęby.

(Spluwa.)

Jaki dźwięk! — to kalambur — o brzydka mucho;

(Opędza koło nosa.)

Lata mi koło nosa,

Jak osa.

I epigramy, żarciki i przytyki,

Te szmery,—ach to świerszcze wlaży mi w ucho;

Moje ucho, moje ucho!

(Wytrząsa palcem ucho.)

Jaki szmer! — kamerjunkry świszczą jak puszczyki,

Damy ogonem skrzeczą jak grzechotniki,

Jaki okropny szmer! śmiechy! wrzaski:

Senator wypadł z łaski, z łaski! z łaski, z łaski.

(Pada z łożka na ziemię.)

DJABŁY, stępują widomie.

Teraz duszę, ze zmysłów wydrzem; jak z okucia

Psa złego; lecz niecałkiem, nałożym kaganiec,

Na wpół zostawim w ciele, by niestracił uczucia ;  
 Drugą połowę wlecmy aż na świata kraniec,  
 Gdzie się doczesność kończy a wieczność zaczyna,  
 Gdzie z sumnieniem graniczy piekielna kraina ;  
 I złe psisko uwięzę tam, na pograniczu :  
 Tam pracuj ręko moja, tam świszaj mój biczu.  
 Nim trzeci kur zapieje, musim z tej męczarni,  
 Wrócić zmordowanego, skalanego ducha ;  
 Znowu przykuć do zmysłów, jako do łańcucha ,  
 I znowu w ciele zamknąć , jako w brudnej psiarui.

SCENA VII.

SALON WABSZAWSKI.

(Kilku wielkich urzędników, kilku wielkich literatów, kilka dam wielkiego tonu, kilku generałów i sztaboficerów; wszyscy *in cognito* pija herbatę przy stoliku. Bliżej drzwi, kilku młodych ludzi i dwóch starych Polaków. Stojący rozmawiają z żywocią. — Towarzystwo stolikowe mówi po francusku, przy drzwiach po polsku.)

*Przy drzwiach.*

ZENON NIEMOJEWSKI, do Adolfa.

To i u was na Litwie toż samo się dzieje?

IV.

11

ADOLF.

Ach u nas gorzej jeszcze, u nas krew się leje!

NIEMOJEWSKI.

Krew?

ADOLF.

Nie na polu bitwy, lecz pod ręką kata,  
Nie od miecza, lecz tylko od pałki i bata.

(Rozmawiają ciszej.)

*Przy stoliku.*

HRABIA.

To bal był taki świetny, i wojskowych wiele?

FRANCUZ.

Ja słyszałem że było pusto jak w kościele.

DAMA.

Owszem pełno —

HRABIA.

I świetny?

DAMA.

O tém mówić długo.

**KAMERJUNKIER.**

Służono najuiegrabniej; choć z liczną usługą;  
Niemiałem szklanki wina, ułamku pasztetu,  
Tak zawalono całe wniesie do bufetu.

**DAMA I<sup>a</sup>.**

W sali tańcow, zgoła nic nieugrupowano,  
Jak na raucie angielskim po nogach deptano.

**DAMA II<sup>a</sup>.**

Bo to był tylko jeden z prywatnych wieczorow.

**SZAMBELAN.**

Przepreszam, bal proszony — mam dotąd bilety.

(Wyjmuje inwitacye i pokazuje, wszyscy przekonywają się.)

**DAMA I<sup>a</sup>.**

Tem gorzej; pomieszano grupy, toalety,  
Niemożna było zgoła ocenić ubiorów.

DAMA II<sup>a</sup>.

Odtąd jak Nowosilcow wyjechał z Warszawy,  
Nikt nieumie gustownie urządzić zabawy :  
Niewidziałam pięknego balu ani razu ;  
On umiał ugrupować bal nakształt obrazu ,  
(Słychać między mężczyznami śmiech.)

DAMA I<sup>a</sup>.

Śmiejcie się Państwo, mówcie co się Wam podoba,  
A była to potrzebna w Warszawie osoba.

*Przy drzwiach.*

JEDEN Z MŁODYCH.

Cichowski uwolniony ?

ADOLF.

Ja znam Cichowskiego.  
Właśnie byłem, chciałem się dowiedzieć od niego,  
Żeby między naszymi na Litwie rozgłosić.



ZENON NIEMOJEWSKI.

My powinniśmy z sobą łączyć się i znosić ;  
Inaczej, rozdzieleni, wszyscy zginiem marnie.

(Gadają ciszej.)

MŁODA DAMA, przy nich stojąca.

A jakie on okropne wytrzymał męczarnie!

(Rozmawiają.)

*Przy stoliku.*

GENERAŁ, do literata.

Ale przeczytaj wreszcie — dajże się uprosić.

LITERAT.

Ja nieumiem na pamięć

GENERAŁ.

Zwykłeś z sobą nosić.

Masz przy sobie pod frakiem — a — widzę okładki ;

Damy chcą słyszeć.

IV.

II.

LITERAT.

Damy? — a! — to literatki.  
Więcej wierszy francuskich na pamięć umieją,  
Niżli ja.

GENERAŁ, idzie mówić z damami.

Tylko niechaj Panie się nieśmieją.

DAMA.

Macie robić lekturę? — prezpraszam, — choć umiem  
Po polsku, ale polskich wierszy nierozumiem.

GENERAŁ, do oficera.

Ma rację po części, bo nudne po trochu.

(Pokazuje na literata.)

Opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu.

(Do literata.)

Czytajże, jeśli ciebie niebędziem słuchali —

To patrz —

(Pokazując na drugiego literata.)

Ten nam gazaciarz swe rymy wypali.

Sliczna byłaby wszystkim słuchaczom przysługa.  
Patrz jak się on zaprasza, jak śmieje się, mruga;  
I usta już otworzył jak zdechłą ostrygę,  
I oko zwrócił wielkie i słodkie jak figę.

LITERAT, do siebie.

Wychodzą —

(do Generała.)

Długie wiersze, jabym piersi strudził.

GENERAŁ, do oficera.

Dobrze że niechce czytać, boby nas zanudził.

MŁODA DAMA,

Oddzielając się od grupy młodszej ode dźrwi do stolika.

A to jest rzecz okropna — słuchajcie Panowie!

(Do Adolfa.)

Niechaj Pan tym Ichmościom o Cichowskim powie.

OFICER WYŻSZY.

Cichowski wypuszczony?

HRABIA.

Przesiedział lat tyle  
W więzieniu —

SZAMBELAN.

Ja myślałem że leżał w mogile.  
(Do siebie.)

O takich rzeczach słuhać, niebardzo bezpiecznie,  
A wyjść w środku powieści, byłoby niegrzecznie  
(Wychodzi.)

HRABIA.

Wypuszczony? — to dziwna.

ADOLF.

Nieznaleźli winy.

MISTRZ CEREMONII.

Ktoż tu mówi o winach; — są inne przyczyny —  
Kto długo był w więzieniu; widział, słyszał wiele —  
A rząd ma swe widoki, ma głębokie cele,

Ktore musi ukrywać. — To jest rzecz rządowa —  
Tajniki polityczne — myśl gabinetowa.  
To się tak wszędzie dzieje — są tajniki stanu —  
Ale Pan z Litwy, — a! a! — to jest dziwno Panu  
Panowie na wsi, to tak chcecie o cesarstwie  
Wiedzieć wszystko, jak gdyby o swém gospodarstwie.

(Uśmiecha się.)

KAMERJUNKER.

Pan z Litwy i po polsku? niepojmuję wcale —  
Ja myślałem że w Litwie, to wszystko Moskale.  
O Litwie, dalibógże! mniej wiem niż o Chinach —  
Constitutionel coś raz pisał o Litwinach;  
Ale w innych gazetach francuskich ni słowa.

PANNA, do Adolfa.

Niech Pan opowie, — to rzecz ważna, narodowa.

STARY POLAK.

Znałem starych Cichowskich, uczciwa rodzina;  
Oni są z Galicyi. Słyszałem że syna

Wzięli i zamorzyli : — mój krewny daleki!  
 Niewidziałem go dawno, — o ludzie! o wieki!  
 Trzy pokolenia przeszły jak nas przemoc dręczy;  
 Męczyła ojców naszych, — dzieci, wnuków męczy !

ADOLF.

(Wszyscy zbliżają się i słuchają.)

Znałem go będąc dzieckiem;—był on wtenczas młody,  
 Żywy, dowcipny, wesoły, i sławny z urody;  
 Był duszą towarzystwa ; gdzie się tylko zjawił,  
 Wszystkich opowiadaniem i żartami hawił;  
 Lubił dzieci i często brał mię na kolana,  
 U dzieci miał on tytuł wesołego pana.  
 Pamiętam włosy jego, — nieraz ręce moje,  
 Płatałem w jasnych włosow kędzierzawe zwoje.  
 Wzrok pamiętam, — musiał być wesoły, niewinny,  
 Bo kiedy patrzył na nas, zdawał się dziecinny;  
 I patrząc na nas, wabił nas do swój żrenicy,  
 Patrząc nań, myśleliśmy, żeśmy rowiennicy.  
 On w ten czas miał się żenić; — pomnę że przynosił  
 Dzieciom dary swej przyszłej i na ślub nas prosił.  
 Potem długo nieprzyszedł, i mówiono w domu,

Że niewiedzieć gdzie zniknął, umknął pokryjomu,  
 Szuka rząd, ale śladu dotąd niewytropił,—  
 Nakoniec powiedziano, zabił się, utopił.  
 Policya dowodem stwierdziła domysły,  
 Znalezione płaszcz jego nad brzegami Wisły;  
 Przyniesiono płaszcz żonie — poznała — on zginął;  
 Trupa nieznaleziono — i tak rok przeminął.  
 Dla czegoż on się zabił? — pytano, badano,  
 Żałowano, płakano, wreszcie — zapomniano.  
 I minęło dwa lata. — Jednego wieczora,  
 Więźniów do Belwederu wiedziono z klasztoru.  
 Wieczor ciemny i dżdżysty;--niewiem czy przypadkiem,  
 Czy umyślnie ktoś był tej processyi świadkiem;  
 Może jeden z odważnych Warszawskich młodzieńców,  
 Którzy śledzą pobytu i nazwiska jeńców :  
 Warty stały w ulicach, głucho było w mieście —  
 W tém ktoś z za muru krzyknął : więźnie kto jesteście ?  
 Sto ozwało się imion ; — wśród nich dosłyszano  
 Jego imie, i żonie na zajutrz znać дано.  
 Pisała i latała, prosiła, błagała,  
 Lecz prócz tego imienia, nic nieposłyszała.  
 I znowu lat trzy przeszło bez śladu, bez wieści.

Lecz niewiedzieć kto szerzył w Warszawie powieści,  
 Ze on żyje, że męczą, że przyznać się wzbrania,  
 I że dotąd niełożył żadnego wyznania;  
 Że mu przez wiele nocy spać niedozwolano,  
 Że karminio śledziami i pić niedawano;  
 Że pojono opium; nasyłano strachy,  
 Larwy; że łoskotano w podeszwy, pod pachy—  
 Lecz w krótkce innych wzięto, o innych zaczęli  
 Mówić; żona płakała, wszyscy zapomnieli.

Aż niedawno, przed domem żony, w nocy dzwonią —  
 Otworzono : Officer i żandarm pod bronią,  
 I więzień — On — każą dać piora, i papieru ;  
 Podpisać że wrócony żywy z Belwedru.  
 Wzięli podpis, i palcem pogroziwszy : « jeśli  
 Wydasz.... » — i nieskończyli, jak weszli, odeszli.  
 To on był. — Biegę widzieć, przyjaciel ostrzega :  
 Nieidź dzisiaj, bo spotkasz pod wrotami szpiega.  
 Idę na zajutrz, w progu policyjskie draby ;  
 Idę w tydzień ; on sam mię nieprzyjmuje, słaby.  
 Aż niedawno za miastem w pojezdzie spotkałem —  
 Powiedziano że to on, bo go niepoznałem.





W miesiąc poszedłem znowu, myśliłem że zdoła  
 Rozpatrzyć się na świecie i pamięć przywoła.  
 Lecz tyle tysięcy dni był pod śledztwa próbą,  
 Tyle tysięcy nocy rozmawiał sam z sobą,  
 Tyle lat go badały mękami tyrany,  
 Tyle lat otaczały słych mające sciany;  
 A całą jego było obroną — milczenie,  
 A całym jego były towarzystwem — cienie;  
 Że już się nieudało wesołemu miastu,  
 Zgładzić w miesiąc naukę tych lat kilkunastu.  
 Słońce zda mu się szpiegiem, dzień donosicielem,  
 Domowi jego strażą, gość nieprzyjacielem.  
 Jeśli do jego domu przyjdzie kto nawiedzić,  
 Na klamki trzask on myśli zaraz: idą śledzić;  
 Odwraca się, i głowę na rękę opiera,  
 Zdaje się że przytomność, moc umysłu zbiera:  
 Scina usta, by słowa same niewypadły,  
 Oczy spuszcza, by szpiegi z oczu co niezgadły.  
 Pytany, myśląc zawsze że jest w swém więzieniu,  
 Ucieka w głąb pokoju i tam pada w cieniu,  
 Krzycząc zawsze dwa słowa: • nic nie wiem, nic powiem •

I te dwa słowa, jego stały się przysłowiem ;  
 I długo przed nim płacze na kolanach żona  
 I dziecko, nim on bojaźń i wstręt swój pokona.

Przeszłą niewolę lubią opiewać więźniowie ;  
 Myślałem że on ją nam najlepiej opowie,  
 Wyda na jaw z pod ziemi i z pod straży zbirów,  
 Dzieje swe, dzieje wszystkich Polski bohaterów : —  
 Bo teraz Polska żyje, kwitnie w ziemi cieniach,  
 Jej dzieje na Sybirze, w twierdzach i więzieniach.  
 I cóż on na pytania moje odpowiedział ?  
 Że o swoich cierpieniach sam już nic nie niewiedział,  
 Niepomniał. — Jego pamięć zapisana cała,  
 Jak xięga herkulańska pod ziemią spruchniała :  
 Sam autor zmartwychwstały nicumie w niej czytać.  
 Rzekł tylko : będę o to Pana Boga pytać,  
 On to wszystko zapisał, wszystko mnie opowie.

(Adolf Izy ociera.)

(Długie milczenie.)

**DAMA MŁODA**, do literata.

**Czema to o tém pisać niechcecie Panowie ?**

HRABIA.

Niech to stary Niemcewicz w pamiętniki wsadzi,  
On tam, słyshałem, różne szpargały gromadzi.

LITERAT I'.

To historya!

LITERAT II'.

Straszna.

KAMERJUNKIER.

Dalbóg wysmienita.

LITERAT.

Takich dziejow słuchają, lecz kto je przeczyta?  
I proszę, jak opiewać współczesne wypadki;  
Zamiast mitologii, są naoczne świadki.  
Potém, jest to wyraźny, święty przepis sztuki,  
Że należy poetom czekać — aż — aż —

JEDEN Z MŁODZIEŻY.

Póki? —

Wieleż lat czekać trzcha, nim się przedmiot świeży,  
Jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?

LITERAT I'.

Niema wyraźnych reguł.

LITERAT DRUGI.

Ze sto lat.

LITERAT.

To mafo!

LITERAT III'.

Tysiąc, parę tysięcy—

LITERAT IV'.

A mnieby się zdało,  
Że to wcale nieszkodzi że przedmiot jest nowy;  
Szkoda tylko że niejest polski, narodowy.  
Nasz narod się prostotą, gościnnością chlubi,  
Nasz narod scen okropnych, gwałtownych niełubi;—  
Spiewać, naprzykład, wiejskich chłopcow zalecanki,  
Trzody, cienie— Sławianie, my lubim sielanki.

LITERAT I'.

Spodziewam się że Panu przez myśl nieprzejdzie,  
Aby napisać wierszem, że ktoś jadał śledzie.  
Ja mówię, że Poezyi niema bez poloru,  
A polor bydz niemoże, tam gdzie niema dworu :  
Dwór to sądzi o smaku, piękności i sławie,  
Ach ginie Polska! dworu niemany w Warszawie.

MISTRZ CEREMONII.

Niema dworu! — a to mię dziwi niepomału,  
Przecież ia jestem mistrzem ceremoniału.

HRABIA, cicho do mistrza.

Gdybyś namiestnikowi wyrzekł za mną słówko,  
Moja żona byłaby pierwszą pokojówką.

(Głosno.)

Ale próżno, nie dla nas wysokie urzędy!  
Arystokracja tylko ma u dworu względy.

DRUGI HRABIA, niedawno kreowany z mi szczan.

Arystokracja zawsze swobod jest podporą,  
Niech Państwo przykład z Wielkiej Brytanii biorą.

(Zaczyna się kłótnia polityczna — młodzież wychodzi.)

PIERWSZY Z MŁODYCH.<sup>1</sup>

A łotry! — o to kija!

A \*\*\* G\*\*.

O to stryczka, haku!  
Jabym im dwor pokazał, nauczyłbym smaku.

N \*\*\*.

Patrzcie, coż my tu pocznem, patrzcie przyjaciele,  
Otoż to jacy stoją na narodu czele.

WYSOCKI.

Powiedz raczej na wierzchu. Nasz naród jak lawa,  
Zwierchu zimna i twarda, sucha i plugawa;  
Lecz wewnętrznego ognia sto lat niewyziębi;  
Plwajmy na tę skorupę i sstąpmy do głębi.

(Odchodzi.)

SCENA VIII.

PAN SENATOR.

W Wilnie. Sala przedpokojowa; na prawo drzwi do sali komisyi sledzczej, gdzie prowadzą więźniów i widać ogromne pliki papierów. W głębi, drzwi do pokojów Senatora, gdzie słycać muzykę. Czas : po obiedzie. U okna siedzi sekretarz nad papierami dalej nieco na lewo stolik, gdzie grają w wiska. Nowosilców pije kawę; koło niego szambelan Bajkow, Pelikan i jeden doktor. U drzwi warta i kilku lokajow nieruchomych.)

SENATOR, do szambelana.

Diablc! quelle corvée! — przecież po obiedzie.  
 La princesse nas zwiodła i dziś nieprzyjedzie.  
 Z resztą, en fait des dames, stare, albo głupie : —  
 Gadać, imaginez-vous, o sprawach przy supie!  
 Je jure, tych patriotków niemić à ma table,  
 Avec leur franc parler et leur ton détestable.  
 Figurez-vous — ja gadam, o strojach, kassynie,  
 A moja kompania o ojcu, o synie : —  
 • On stary, on zbyt młody, Panie senatorze,



On kozy znieść niemoże Panie senatorze,  
 On prosi spowiednika, on chce widzieć żonę,  
 On — Quesais-je! — piękny dyskurs w obiady proszone.  
 Il y a de quoi oszaleć; muszę skończyć sprawę,  
 I uciec z tego Wilna w kochaną Warszawę.  
 Monseigneur mnie napisał de revenir bientôt,  
 On się beze mnie nudzi, a ja z tą hołotą —  
 Je n'en puis plus —

DOKTOR, podchodząc.

Mówiłem właśnie Jaśnie Panie,  
 Że ledwie rzecz zaczęta, i sprawa w tym stanie,  
 W jakim jest chory kiedy lekarz go nawiedzi,  
 I zrobi anagnosin. Mnóstwo uczniów siedzi,  
 Tyle było sledzenia, żadnego dowodu;  
 Jeszcześmy nietrafili w samo jądro wrzodu.  
 Coż odkryto? wierszyki! ce sont des maux légers,  
 Ce sont można powiedzieć, accidens passagers;  
 Ale osnowa spisku dotąd jest tajemną,  
 J..

SENATOR, z uprzą.

Tajemną? — to widzę Panu w oczach ciemno!  
I niedziw, po obiedzie — więc signor Dottore,  
Adio, bona notte — dzięki za perorę!  
Tajemną! sam śledziłem i ma być tajemną?  
I vous osez docteur mówić tak przede mną?  
Któż kiedy widział u nas formalniejsze śledztwa?

(Pokazując papiery.)

Wyznania dobrowolne, skargi i świadectwa,  
Wszystko jest; i tu cały spiszek świętokradzki,  
Stoi spisany jasno, jak ukaz senacki. —<sup>(5)</sup>  
Tajemną! — za te nudy, owoż co mam w zysku.

DOKTOR.

Jasnie Panie, excusez, któż wątpi o spisku!  
Właśnie mówię — że...

LOKAL.

Człowiek kupca Kanissyna  
Czeka i jakiś Panu registr przypomina.

SENATOR.

Regestr? jaki tam rejestr? — kto?

LOKAJ.

Kupiec Kanissyn,  
Co mu Pan przyjąć rozkazał...

SENATOR.

Idźże precz sukisyn!  
Widzisz że ja zajęty.

DOKTOR, do lokajów.

A głupie bestye!  
Przychodzić — Pan senator, widzisz, kawę pije.

SEKRETARZ, wstając od stolika.

On powiada że jeśli Pan zapłatę zwleka,  
On zrobi process.

SENATOR.

Napisz grzecznie niechaj czeka.

(Zamyśla się.)

Apropos — ten kanissyn — trzeba mu wziąć syna  
Pod śledztwo. — Oj to ptaszek!

SEKRETARZ.

To mały chłopczyna.

SENATOR.

Oni to wszyscy mali, ale patrz w ich serce; —  
Najlepiej ogień zgasić, dopóki w iskiecce.

SEKRETARZ.

Syn Kanissyna w Moskwie.

SENATOR.

W Moskwie? — a voyez-vous,  
Emissaryusz klubów. — Czas zabieżeć temu,  
Wielki czas.

SEKRETARZ.

On podobno u kadetów służy.

SENATOR.

U kadetów? — voyez-vous, on tam wojsko burzy.

SEKRETARZ.

Dzieckiem z Wilna wyjechał.

SENATOR.

Oh! cet incendiaire,  
 Ma tu korrespondentów. (do sekretarza) Ce n'est pas ton  
 [affaire;  
 Rozumiesz! — Hej deżurny! — We dwadzieście cztery  
 Godzin, wysłać kibitkę i zabrać papiery.  
 Z resztą ojciec lękać się nas niema przyczyny,  
 Jeśli syn dobrowolnie przyzna się do winy.

DOKTOR.

Właśnie jak miałem honor mówić Jaśnie Panu,  
 Są tam ludzie różnego i wieku i stanu;—  
 To najniebezpieczniejsze jest spisku symptoma,  
 A wszystkiem rusza pewna sprężyna kryjoma,  
 Którą...

SENATOR, z urazą.

Kryjoma?

DOKTOR.

Mówię, tajemnie skrywana,  
 Odkryta dzięki przezorności Jaśnie Pana.

(Senator odwraca się.)

(Do siebie.)

To szatan niecierpliwy, — z tym człowiekiem bieda!  
Mam tyle ważnych rzeczy; wymówić mi nieda.

PELIKAN, do senatora.

Co Pan senator każe z Rolissonem robić?

SENATOR.

Jakim?

PELIKAN.

Co to na śledztwie musiano go obić.

SENATOR.

Eh bien?

PELIKAN.

On zachorował.

SENATOR.

Wjeleż kijów dano?

PELIKAN.

Byłem przy śledztwie, ale tam nierachowano. —  
Pan Botwinko śledził go.

BAJKOW.

Pan Botwinko! cha, cha —

O nieprędko on kończy gdy się raz rozmacha.

Ja zaręczam że on go opatrzył nieszpętnie —  
Parions, że mu wyliczył najmniej ze trzy setnie.

SENATOR, zadziwiony.

Trois cents coups et vivant? trois cents coups, le coquin;  
Trois cents coups sans mourir,—quel dos de jacobin!  
Myślałem że w Rossyi, la vertu cutannée  
Surpasse tout—ten łotr ma une peau mieux tannée!  
Je n'y conçois rien! — ha, ha, ha, ha, mon ami!

(Do grającego w wiska który czeka na swego kompana.)

Polaki nam odbiorą nasz handel skórami.  
Un honnête soldat en serait mort dix fois!  
Quel rebelle — (podchodzi do stolika) dla Pana mam un  
[homme de bois —  
Chłopiec drewniany; dał mu sam Botwinko kije.  
Trzysta kijów dziecięciu — figurez-vous? żyje!

(Do Pelikana.)

Nic nie wyznał?

PELIKAN.

Prawie nic; — zęby tylko zaciął,  
Krzyczy że niebce skarżyć niewinnych przyjaciół.

Ale z tych kilku słówek odkrywa się wiele —  
Widać, że ci uczniowie — jego przyjaciele.

SENATOR.

C'est juste : jaki upor !

DOKTOR.

Właśnie powiadałem  
Jaśnie Panu, że młódzież zarażają szałem,  
Ucząc ich głupstw : na przykład, starożytne dzieje !  
Któż niewidzi, że młódzież od tego szaleje.

SENATOR, wesoło.

Vous n'aimez pas l'histoire, — ha, ha, un satirique  
Aurait dit, że boisz się devenir historique.

DOKTOR.

I owszem, uczyć dziejów, niech się młódzież dowie,  
Co robili królowie, wielcy ministrowie...

SENATOR.

C'est juste.

DOKTOR, ucieszony.

Właśnie mówię, widzi Pan Dobrodzięż,



Że jest sposób wykładać dzieje i dla młodzi.  
Lecz poco zawsze prawić o republikanach,  
Zawsze o Ateńczykach, Spartanach, Rzymianach.

PELIKAN, do jednego ze swoich towarzyszy pokazując doktora.

Patrz, patrz jak za nim łązi pochlebca przekłety  
I wscibi się mu w łaskę — co to za wykręty!

(Podchodzi do doktora.)

Ale cóż o tém mówić, czy to teraz pora;  
Zważno, czy można nudzić Pana senatora.

LOKAJ, do senatora.

Czy Pan rozkaże wpuścić te Panie — kobiety —  
Pan wie — co wysiadają tu codzień z karety. —  
Jedna ślepa, a druga —

SENATOR.

Ślepa? któż to ona?

LOKAJ.

Pani Rollison.

PELIKAN.

Matka tego Rollisona.

LOKAJ.

Co dzień tu są.

SONATOR.

Odprawić było —

DOKTOR.

S panem bogiem!

LOKAJ.

Odprawiamy, lecz siada i skwiérczy pod progiem.

Kazaliśmy brać w areszt, — ze ślepą kobietą

Trudno iść, lud się skupił, żołnierza wybito.

Czy mam wpuścić?

SENATOR.

E! rady sobie dać nieumiesz —

Wpuścić; tylko aż do pół schodów — czy rozumiesz?

A potém ją sprowadzić — aż w dół — o tak (z gościem) tęgo;

Żeby nas nienudziła więcej swą włóczęgą.

(Drugi lokaj wchodzi i oddaje list Bajkowowi.)

No czegoż stojsz, podźże —

BAJKOW.

Elle porte une lettre.

(Oddaje list.)

SENATOR.

Ktożby to za nią pisuś?

BAJKOW.

La princesse peut-être.

SENATOR, czyta.

Xiężna! z kąd jej to przyszło? na kark mi ją wpycha.  
Avec quelle chaleur! — Wpuścić ją do licha.

(Wchodzą dwie damy i Xiądz Piotr.)

PELIKAN, do Bajkowa.

To stara czarownica, mère de ce fripon.

SENATOR, grzecznie.

Witam, witam, któraż z Pań jest Pani Rollison?

P. ROLLISON, s płaczem.

Ja — moj syn! Panie Dobrodzieju...

SENATOR.

Proszę — chwilę —

Pani masz list, a pociż przyszło tu Pań tyle?

DRUGA DAMA.

Nas dwie.

SENATOR, do drugiej.

I po coż Panią mam tu honor witać?

DRUGA.

Pani Rollison trudno drogi się dopytać,  
Nie widzi. —

SENATOR.

Ha! niewidzi — a to wacha może?  
Bo codzien do mnie trafia.

DRUGA.

Ja tu ją przywózę.  
Ona sama i stara i niebardzo zdrowa.

P. ROLLISONOWA.

Na Boga...!

SENATOR.

Cicho (do drugiej) Pani któż jesteś?

DRUGA.

Kmitowa.

SENATOR.

Lepiej siedź w domu i miej o synach staranie.  
Jest na nich podejrzenie.

KMITOWA, bladnąc.

Jokto, jacto? Panie!

(Senator śmieje się.)

P. ROLLISONOWA.

Panie ! litość — ja wdowa ! Panie senatorze !  
 Słyszałam że zabili — czyż można, mój Boże !  
 Moje dziecko ! — Xiądz mówi że on jeszcze żyje ;  
 Ale go biją, Panie ! ktoż dzieci tak bije ! —  
 Jego zbito — zlituj się — po katowsku zbito. (płacze).

SENATOR.

Gdzie? kogo? — gadaj przecie po ludzku kobito.

P. ROLLISONOWA.

Kogo? ach dziecko moje ! Mój Panie — ja wdowa —  
 Ach wieleż to lat póki człek dziecko wychowa !  
 Mój Jaś już drugich uczył ; niech Pan wszystkich spyta  
 Jak on uczył się dobrze. — Ja biedna kobiéta !  
 On mnie żywił ze swego szczupłego dochodu —  
 Slepa, on był mnie okiem — Panie, umrę z głodu.

SENATOR.

Kto poplotł że go bili, niewyjdzie na sucho.  
 Kto mówił ?

P. ROLLISONOWA.

Kto mnie mówił ? ja mam matki ucho.

Ja ślepa ; teraz w uchu cała moja dusza ,  
 Dusza matki. — Wiedli go wczora do ratusza ;  
 Słyszałam —

SENATOR.

Wpuszczono ją ?

P. ROLLISONOWA.

Wypchnęli mię z progu,  
 I z bramy, i z dziedzińca. Siadłam tam na rogu,  
 Pod murem ; — mury grube, — przyłożyłam ucho—  
 Tam siedziałam od rana. — W północ, w miescie głucho,  
 Słucham — w północ, tam z muru — nie, nie zwodzę  
 [siebie ;  
 Słyszałam go, słyszałam, jak Pan Bóg na niebie ;  
 Ja głos jego słyszałam uszami własnymi —  
 Cichy, jakby z pod ziemi, jak ze środka ziemi. —  
 J mój słuch wszedł w głąb muru, daleko, głęboko ;  
 Ach dalej poszedł, niżli najbystrzejsze oko.  
 Słyszałam, męczono go —

SENATOR.

Jak w gorąccze bredzi !

Ale tam moja Pani, wielu innych siedzi ?

P. ROLLISONOWA.

Jakto? — czyż to niebył głos mojego dziecięcia?  
Niema owca pozna głos swojego jagnięcia,  
Sród najliczniejszej trzody — ach to był głos taki! —  
Ach dobry Panie, żebyś słyszał raz głos taki,  
Tybyś już nigdy w życiu spokojnie niezasnął!

SENATOR.

Syn Pani zdrów bydz musi, gdy tak głośno wrzasnął.

P. ROLLISONOWA, pada na kolana.

Jeśli masz ludzkie serce...

(Otwierają się drzwi od sali — słychać muzykę — wbiega panna ubrana  
jak na bal.)

PANNA.

Monsieur le sénateur —

Oh! je vous interromps, on va chanter le chœur  
De Don Juan; et puis le concerto de Herz...

SENATOR.

Herz! chœur! tu także była mowa około serc.  
Vous venez à propos, vous belle comme un cœur.

**Moment sentimental ! il pleut ici des cœurs.**

(Do Bajkowa.)

**Żeby le grand-duc Michel ten kalambur wiedział,  
Ma foi, to jużbym dawno w radzie państwa siedział.**

(Do Panny) **J'y suis — dans un moment.**

**P. ROLLISONOWA.**

**Panie, niczrucaj nas**

**W rospaczy, ja niepuszczę — (chwytając za suknię)**

**PANNA.**

**Faites-lui donc grâce !**

**SENATOR.**

**Diable m'emporte jeśli wiem, czego chce ta jędza.**

**P. ROLLISONOWA.**

**Chcę zobaczyć syna.**

**SENATOR, z przyciskiem.**

**Cesarz niepozwała.**

**X. PIOTR.**

**Xiędza!**

**P. ROLLISONOWA.**

**Xiędza przynajmniej poszlij, syn mój prosi Xiędza.**



Może kona; — gdy ciebie płacz matki niewzruszy,  
Bój się boga, dręcz ciało, ale niegub duszy.

SENATOR.

C'est drôle; — kto te po mieście wszystkie plotki nosi,  
Kto Wać Pani powiedział, że on Xiędza prosi?

P. ROLLISONOWA, pokazując Xiędza Piotra.

Ten Xiędz poczciwy mówił; on tygodni tyle  
Biega, błaga, lecz niechęć wpuścić i na chwilę.  
Spytaj Xiędza, on powie...

SENATOR, patrząc bystro na Xiędza.

To on wie? — poczciwy?—

No zgoda, zgoda, — dobrze — Cesarz sprawiedliwy;  
Cesarz xięży niewzbrania, owszem sam posyła,  
Aby do moralności młodzież powróciła.  
Nikt jak ja religii nieceni, nie lubi —

(Wzydycha.)

Ach, ach, brak moralności, to, to młodzież gubi.  
Eh bien, żegnam więc Panie.

P. ROLLISONOWA, do Panny.

Ach panienko droga!

Wstaw się ty jeszcze za mną, ach na rany Boga!  
 Mój syn mały! — rok siedzi o chlebie i wodzie,  
 W zinném ciemném więzieniu, bez odzieży, w chłodzie..

PANNA.

Est-il possible ?

SENATOR, w ambarasie.

Jakto, jakto ? on rok siedział ?

Jakto, imaginez-vous — jam o tém niewiedział !

(Do Pelikana.)

Słuchaj, trzeba tę sprawę najpierwej rospatrzeć,  
 Jeśli to prawda, uszy komissarzom natrzeć.

(Do Rollisonowej.)

Soyez tranquille, przyjdź tu o siódmiej godzinie.

P. KMITOWA.

Nie płacz tak, Pan Senator nie wie o twym synie,  
 Jak się dowie, obaczysz, może oswobodzi.

P. ROLLISONOWA, uradowana.

Niewié ? — chce wiedzieć ? o niech mu Pan Bóg na-  
 [grodzi.

Ja to zawsze mówiłam ludziom : — bydź niemoże  
 Tak okrótny jak mówią, on stworzenie boże,

On człowiek, jego matka mlekiem wykarmiła —  
Ludzie śmieli się, widzisz, jam prawdę mówiła.

(Do Senatora.)

Tys niewiedział! — te łotry wszystko tobie tają.  
Wierz mi Panie, tys łotrów otoczony zgrają;  
Nie ich pytaj, nas pytaj, my wszystko powiemy,  
Całą prawdę —

SENATOR, śmiejąc się.

No dobrze, o tém pomowimy,  
Dziś nié mam czasu, adieu. — Xiężnej powiedz Pani,  
Że co można, to wszystko każę zrobić dla niéj.

(Grzecznie.)

Adieu Madame Kmit, adieu — co mogę to zrobię.

(Do Xiędza Piotra.)

Waść Xiężę zostań, parę słów mam szepnąć tobie.

(Do Panny.)

J'y suis dans un moment.

(Wszyscy odchodzą prócz dawnych osób.)

SENATOR, po pauzie do lokajów.

A szelmy, łajdaki!

Łotry, stoicie przy drzwiach i porządek taki?

Skórę wam zedrę szelmy, służby was nauczę:

(Do jednego lokaja.)

Słuchaj—ty idź za babą—(do Pelikana) Nie, Panu poruczę.

Skoro wyjdzie od Xiężnej, daj jój pozwolenie

Widzieć syna, i prowadź aż tam — tam, w więzienie.

Potém osobno zamknij, — tak, na cztery klucze.

C'en est trop — a łajdaki, służby was nauczę!

(Rzuca się na krzesło.)

LOKAJ, ze drżeniem.

Pan kazał wpuścić —

SENATOR, schwytyjąc się.

Co? co? — ty śmiesz ty! mnie gadać?

Toś wyczytał się w Polsce Panu odpowiadać.

Stoj, stoj, ja cię oduczę. — Wieść go do kwatery

Policmejstra — sto kijow i tygodnie cztery

Na chleb i wodę —

PELIKAN.

Niech Pan senator uważy,

Iż mimo tajemnicy i czujności straży,

O biciu Rolissona, niechętnie osoby

Wieść roznoszą, i może wynajdą sposoby,

Oczernić przed cesarzem nasze czyste chęci,  
Jeśli się temu śledztwu prędko łeb nieskręci.

DOKTOR.

Właśnie ja rozmyślałem nad tém Jasnie Panie.  
Rollison od dni wielu cierpi pomieszanie;  
Chce sobie życie odjąć, do okien się rzuca,  
A okna są zamknięte....

PELIKAN.

On chory na płuca;  
Nienależy w zamknionym powietrzu go morzyć;  
Roskażę mu więc okna natychmiast otworzyć.  
Mieszka na trzecim piętrze — powietrza użyje...

SENATOR, rostargniony.

Wpuszczać mi na kark babę, gdy ja kawę piję;  
Nie dadzą chwili —

DOKTOR.

Właśnie mówię Jasnie Panie,  
Że potrzeba mieć większe o zdrowiu staranie.  
Po obiedzie, mówiłcm zawsze; niechaj Pan te  
Sprawy odłoży na czas : — ça mine la santé.



Powinienbyś brać ślub twój jak Tyber à Capré.  
 Niepojmuję jak oni mogli Pannę zmusić,  
 Pięknymi usteczkami słowo *tak* wykszusić.

BAJKOW.

Zmusić? — Parions; że ja z nią za rok się rozwiodę,  
 I potem co rok będę brał żoneczki młode;  
 Bez przymusu; dość spojrzeć na tę lub na ową:  
 C'est beau małej szlachciance bydz generałową.  
 Spytaj Xiędza jeżeli zapfacze przy ślubie.

SENATOR.

A propos Xiędza — (do Xiędza) — pódźno mój czarny  
 [Cherubie !

Patrzcie quelle figure! on ma l'air d'un poète —  
 Czy ty widziałeś kiedy un regard aussi bête?  
 Potrzeba go ożywić. — Masz romu kieliszek.

X. PIOTR.

Nie piję.

SENATOR.

No kapłanie, pij!

X. PIOTR.

Jestem braciszek.

SENATOR.

Braciszek czy stryjasek, skądżeto waszeci  
Wiedzieć co po więzieniach robią cudze dzieci.  
Czy to Waszeć chodziłeś z wieściami do matki?

X. PIOTR.

Ja.

SENATOR, do sekretarza.

Zapisać to wyznanie — a o to są świadki.

(Do Xiędza-)

A skądżeś o tém wiedział? he? ptaszek nielada!  
Spostrzegł się że notują i nieodpowiada.  
W jakim klasztorze bractwo twe?

X. PIOTR.

U Bernardynów.

SENATOR.

A u dominikanów pewnie masz kuzynów?  
Bo u dominikanów ten Rollison siedział.  
No gadajże, zkąd ty wiesz, kto ci to powiedział?  
Słyszysz! — ja tobie każę — nie szepc mi pocichu.  
Ja w imieniu cesarza każę; słyszysz mnichu?



Mnichu! czy ty słyszałeś o ruskim batogu?

(Do sekretarza.)

Zapisz że milczał. (Do Xiędza) Wszak ty służyysz Panu  
[Bogu —

Znasz ty teologią — słuchaj teologu.

Wiész ty że wszelka władza od boga pochodzi,  
Gdy władza każe mówić, milczeć się niegodzi.

(Xiąds milcny.)

A czy wiész mnichu, że ja mógłbym cię powiesić,  
I obaczym czy przeor potrafi cię wskrzesić.

X. PIOTR.

Jeżeli kto władzę cierpi, nie mów że jój słucha;  
Bóg czasem daje władzę w ręce złego ducha.

SENATOR.

Jeżeli cię powieszę, a cesarz się dowie  
Żem zrobił nieformalnie, a wiész co on powie?  
« Ej senatorze, widzę, że się już ty bisisz. <sup>6</sup> »  
A ty mnichu tymczasem jak wisisz, tak wisisz.  
Późno bliżej, ostatni raz będę cię badał :  
Wyznaj, kto tobie o tém biciu rozpowiadał?

He? — milczysz — już od Boga ty się niedowiedział —  
Któż mówił? — co? — bóg? — anioł? — djabeł?

X. PIOTR.

Tyś powiedział.

SENATOR, obruszony.

Tyś? — mnie mówić tyś? tyś — tyś, — ha mnich!

DOKTOR.

Ha kapcanie!

Mówi się Panu, Jasnie Oświecony Panie.

(Do Pelikana.)

Nauucz go tam jak mówić; ten mnich widzę z chlewa.

Daj mu tak —

(Pokazuje ręką.)

PELIKAN, daje xiędzu policzek.

Widzisz osłe, senator się gniewa,

XIĄDZ, do doktora.

Panie, odpuść mu Panie, on niewie co zrobić!

Ach bracie, tą złą radą, tyś sam się już dobił.

Dziś ty staniesz przed bogiem.

SENATOR.

Co to?

BAJKOW.

On błażnuje.

Daj mu jeszcze raz w papę niech nam prorokuje.

(Daje mu szcztkę.)

X. PIOTR.

Bracie i ty poszedłś za jego przykładem!

Policzone dni twoje, pójdziesz jego śladem.

SENATOR.

Hej posłać po Botwinkę! zatrzymać tu klechę —

Ja sam będę przy śledztwie, będziem mieć uciechę.

Obaczym czy on będzie milczał tak upornie.

Ktoś go namówił.

DOKTOR.

Właśnie przedstawiam pokornie,

To jest rzecz umówiona i te wszystkie spiski,

Kieruje jak wiem pewnie, Xiążę Czartoryski.

SENATOR, schwytuje się z krzesła:

Que me dites vous là, mon cher, o Xiążęciu?

Impossible — (do siebie) kto wie? — e! — śledztwo lat  
[dziesięciu,

Nim się Xiąże wyplącze, jeśli ja go splątam.

(Do doktora.)

Skądże wiesz?

DOKTOR.

Dawno, czynnie, sprawą się zaprzątam.

SENATOR.

I Pan mnie niemówiłeś?

DOKTOR.

Jasnie Pan niesłuchał;

Ja mówiłem że ktoś to ten pożar rozdmuchał.

SENATOR.

Ktoś! ktoś! ale czy Xiąże?

DOKTOR.

Mam ślad oczewisty,

Mam doniesienia, skargi i przejęte listy.

SENATOR.

Listy księcia?

DOKTOR.

Przynajmniej jest mowa o Xięciu  
W tych listach, i o całym jego przedsięwzięciu;  
I wielu professorów — a głównym ogniskiem  
Jest Lelewel. On tajnie kieruje tym spiskiem.

SENATOR, do siebie.

Ach gdyby jaki dowód! choćby podejrzenie,  
Ślad dowodu, cień śladu, choćby cieniów cienie!  
Nieraz już mi o uszy obija się mowa:  
To Czartoryski wyniosł tak Nowosilcowa.  
Obaczym teraz kto z nas będzie mógł się chwalić,  
Czy ten co umiał wynieść, czy ten co obalić.

(Do doktora.)

Pojdź — que je vous embrasse — a! a! to rzecz inna,  
Ja wraz zgadnąłem że to sprawa nie dziecinna:  
Ja wraz zgadnąłem, że to jest Xiążęcia sztuka.

DOKTOR, poufale.

I Pan zgadnął? — zje djabła kto Pana oszuka.

SENATOR, poważnie.

Choć ja wiem o tćm wszystkićm Panie Radco stanu ;  
 Jeśli odkryć dawody udało się Panu,  
 Ecoutez, daję Panu senatorskie słowo,  
 Naprzod pensyę roczną, powiększę połową,  
 I tę skargę za dziesięć lat służby policzę,  
 Potćm może starostwo, dobra kanonicze,  
 Order — kto wieć, nasz cesarz wspaniale opłaca,  
 Ja go sam będę prosił, — już to moja praca.

DOKTOR.

Mnie też to kosztowało niemało zabiegów ;  
 Ze szczupłćj mojęj płacy, opłacałem szpiegów ;  
 A wszystko z gorliwości o dobro cesarza.

SENATOR, biorąc go pod rękę.

Mon cher idź zaraz, wezmij mego sekretarza.  
 Wziąć te wszystkie papiery i opieczćtować ;  
 (Do doktora.)  
 Wieczorem bedziem wszystko razem trutynować.  
 (Do siebie.)  
 Ja pracowałem, śledztwo prowadziłem całe,

A on s tego odkrycia miałby zysk i chwałę!

(Zamyśla się.)

(Do sekretarza w ucho.)

Przyaresztuj doktora razem z papierami.

(Do Bajkowa który wchodzi.)

To ważna sprawa, musim zatrudnić się sami.

Doktor wymknął się z pewném słówkiem nieumyślnie,

Zbadałem go, a śledztwo ostatek wycisnie.

(Pelikan widząc względy senatora, odprowadza doktora i kłania mu się nisko.)

DOKTOR, do siebie.

Niedawno mię odpychał — ho, ho, Pelikanie!

I ja go zepchnę, i tak, że już niepowstanie.

(Do senatora.)

Zaraz wracam.

SENATOR, niedbale.

O ósmej ja wyjeżdżam z miasta.

DOKTOR, patrząc na zegarek.

Co to? na mym zegarku godzina dwónasta?

SENATOR.

Już piąta.

DOKTOR.

Co, już piąta? — ledwie oczom wierzę.  
Mój index na dwónastój, na samym numerze  
Stanął, i na dwónastój sam indexu nosek;  
Żeby choć o sekundę ruszył, choć o włoszek!

X. PIOTR.

Bracie, i twój już zegar stanął, i nieruszy  
Do drugiego południa. — Bracie, myśl o duszy.

DOKTOR.

Czego ty chcesz?

PELIKAN.

Proroctwo tobie jakieś burczy.  
Patrz jak mu oczy błyszczą, istny wzrok jaszczurczy!

X. PIOTR.

Bracie, Pan Bóg różnemi znakami ostrzega.



PELIKAN.

Ten braciszek coś bardzo wygląda na szpiega —

(Otwierają się drzwi z lewej strony, wchodzi mnóstwo dam wystrojonych,  
urzędników, gości, — za nimi muzyka.)

P. GUBERNATOROWA.

Czy można?

P. SOWIETNIKOWA.

C'est indigne!

P. GENERAŁOWA.

Ah mon cher sénateur,  
Czekamy, posyłamy!

P. SOWIETNIKOWA.

Vraiment c'est un malheur.

WSZYSTKIE, razem.

Wreszcie przyszlęśmy szukać.

SENATOR.

Cóż to? — jaka gala!

IV.

15.

DAMA.

I tu możemy tańczyć, dość obszerna sala.

(Stają i szykują się do tańca.)

SENATOR.

Pardon, mille pardons, j'étais très occupé ;  
Que vois-je, un menuet? parfaitement groupé!  
Cela m'a rappelé les jours de ma jeunesse !

XIĘŻNA.

Ce n'est qu'une surprise.

SENATOR.

Est-ce vous, ma déesse !  
Que j'aime cette danse, une surprise? ah dieux !

XIĘŻNA.

Vous danserez j'espère.

SENATOR.

Certes, et de mon mieux.

(Muzyka gra menueta z Don Juana — z lewej strony stoją czynownicy, czyli urzędnicy i urzędniczki — z prawej kilku z młodzieży, kilku młodych officerów rossyjskich, kilku starych ubranych po polsku i kilka młodych dam. — Na środku menuet. Senator tanczy z narzeczoną Bajkowa; Bajkow z Xiężną.)

## BAL.

(SCENA SPIĘWANA.)

DAMA, z prawej strony.

Patrz, patrz starego jak się wije,  
Jak sapić, oby skręcił szyję.

(Do senatora.)

Jak slicznie, lekko tańczysz Pan!

(Na stronę.)

Il crévera dans l'instant.

MŁODY CZŁOWIEK.

Patrz jak on łasi się i liże,  
Wczora mordował, tańczy dziś;  
Patrz, patrz jak on oczyma strzyże,  
Skacze jak w klatce ryś.

DAMA.

Wczora mordował i katował,  
I tyle krwi niewinnej wylał;  
Patrz dzisiaj on pazury schował,  
I będzie się przymilał.

(Z lewój strony.)

KOLLESKI REGESTRATOR, do sowietnika. 7

Tańczy senator czy widzicie,  
Ej sowietniku pódźmy w tan.

SOWIETNIK.

Uważaj czy to przyzwicie,  
Byś ze mną tańczył Pan.

REGESTRATOR.

Ale tu znajdziem kilka dam.

SOWIETNIK.

Alc nic o to idzie rzecz;  
Ja sobie wolę tańczyć sam,  
Niż z tobą — pódźże precz.

REGISTRATOR.

Skądże to?

SOWIETNIK.

Jestem sowietnikiem.

REGISTRATOR.

Ja jestem oficerski syn.

SOWIETNIK.

Mój Panie, ja nie tańczę z nikim,  
Kto mo tak niski czyn.

(Do Półkownika.)

Podź Półkowniku, podźże w taniec,  
Widzisz że tańczy sam senator.

PÓŁKOWNIK.

Jaki tam gadał oszarpaniec?

(Pokazując registratora.)

SOWIETNIK.

Koleski registrator!

PÓŁKOWNIK.

Ta szuja istne jakubiny!

DAMA, do senatora.

Jak ślicznie lekko tańczysz Pan.

SOWIETNIK, z gniewem.

Jak tu pomieszały się czyny!

DAMA.

Il crévera dans l'instant.

LEWA STRONA, chórem.

DAMY.

Ah! quelle beauté, quelle grâce!

MĘSCYZNI.

Jaka to świetność, przepych jaki!

PRAWA STRONA, chórem.

MĘSCYZNI.

Ach łotry, szelmy ach łajdaki!

Żeby ich piorun trzasł.

SENATOR, tańcząc do Gubernatorowej.

Chcę zrobić znajomość starosty,

On piękną żonę, córkę ma;  
Ale zazdrośny —

GUBERNATOR, biegnąc za senatorem.

To człek prosty;  
Niech Pan to na nas zda.

(Podchodzi do starosty.)

A żona Pańska?

STAROSTA.

W domu siedzi.

GUBERNATOR.

A córki?

STAROSTA.

Jedną tylko mam.

GUBERNATOROWA.

I córka balu nieodwiedzi?

STAROSTA.

Nie.

GUBERNATOROWA.

Pan tu sam?

STAROSTA.

Ja sam.

GUBERNATOR.

I żona niezna senatora?

STAROSTA.

Dla siebie tylko żonę mam.

GUBERNATOROWA.

Chciałem wziąć córkę pańską wczora.

STAROSTA.

Usłużność Pani znam.

GUBERNATOR.

Tu w menuecie para zbywa,  
Senator potrzebuje dam.

STAROSTA.

Moja córka w parach niebywa,  
Jój parę znajdę sam.

GUBERNATOROWA.

Mówiono że tańczy i grywa,  
Senator chciał zaprosić sam.



STAROSTA.

Widzę że Pan senator wzywa,  
Na raz po kilka dam.

LEWA STRONA, chórem.

Jaka muzyka jaki śpiew!  
Jak pięknie meblowany dóm!

PRAWA STRONA, chórem.

Te szelmy zrana piją krew,  
A po obiedzie róm.

SOWIETNIK, pokazując senatora.

Drze ich to prawda lecz zaprasza,  
Takiemu dać się drzeć nie żal.

STAROSTA.

Po turmach siedzi młódzież nasza ?  
Nam każą iść na bal.

OFFICER ROSSYJSKI, do Bestużewa.

Niedziw że nas tu przeklinają,  
Wszak to już mija wiek,  
Jak z Moskwy w Polskę nasyłają,  
Samych łajdaków stek.

IV.

16

STUDENT, do officera.

Patrz jak się Bajkow, Bajkow rucha,

Co to za mina, co za ruch !

Skacze jak po śmieciach ropucha,

Patrz, patrz jak nadał brzuch.

Wyszczérzył zęby, nazbyt łyknał,

Patrz jak otwiera gębę on,

Słuchaj, ach słuchaj Bajkow ryknał.

(Bajkow nóci.)

(Do Bajkova.)

Mon général, quelle chanson !

BAJKOW, śpiewa pieśń Beranżera.

Quel honneur, quel bonheur !

Ah ! monsieur le sénateur !

Je suis votre humble serviteur, etc. etc.

STUDENT.

Général, ce sont vos paroles ?

BAJKOW.

Oui.

STUDENT.

Je vous en fais compliment,

JEDEN Z OFFICERÓW, śmiejąc się.

Ces couplets sont vraiment fort drôles,  
Quel ton satirique et plaisant!

MŁODY CZŁOWIEK.

Pour votre muse sans rivale,  
Je vous ferais académicien.

BAJKOW, w ucho,—pokazując Xiężnę.

Senator dziś będzie rogal.

SENATOR, w ucho—pokazując narzeczoną Bajkowa.

Va, va, je te coifferai bien.

PANNA, tańcząca do matki.

Nazbyt ohydni, nazbyt starzy.

MATKA, z prawej strony.

Jeśli ci zbrzydnął to go rzuć.

SOWIETNIKOVA, z lewej strony.

Jak mojej córeczce do twarzy.

STAROSTA.

Jak od nich rumem czuć.

SOWIETNIKOWA , druga do córki stojącej obok.

Tylko Zosieńku podnieś wzrok,  
Może senator cię obaczy.

STAROSTA.

Jczeli o mnie się zabaczy,  
Dam rękojęścią (biorąc za karabellę) — w bok.

LEWA STRONA, chorem.

Ach jaka świetność, przepych jaki!  
Ach quelle beauté, quelle grâce!

PRAWA STRONA.

Ach szelmy, łotry, ach łajdaki!  
Żeby ich piorun trzasł.

(Z prawej strony między młodzieżą.)

JUSTYN POL, do Bestużewa pokazując na senatora.

Chcę mu scyzoryk mój w brzuch wsadzić,  
Lub zamalować w pysk.

BESTUŻEW.

Coż ztąd jednego łotra zgładzić,

Lub obić ; co za zysk.  
Oni wyszukają przyczyny  
By uniwersytety znieść,  
Krzyknąć że uczenie jakubiny,  
I waszą młodzież zjeść.

JUSTYN POL.

Lecz on zapłaci za męczarnie,  
Za tyle krwi i łez.

BESTUŻEW.

Cesarz ma u nas liczne psiarnie  
Cóż że ten zdechnie pies.

POL.

Nóż świerzbi w rękę, pozwol ubić.

BESTUŻEW.

Otrzegam jeszcze raz !

POL.

Pozwol przynajmniej go wyczubić,

BESTUŻEW.

A zgubić wszystkich was.

POL.

Ach szelmy, łotry, ach zbrodniarze!

BESTUŻEW.

Muszę ciebie wywieść za próg.

POL.

Czyż go to za nas nikt nieskarże?

Nikt się niepomści!

(Ochodzą ku drzewom.)

X. PIOTR.

— Bóg!

(Nagle muzyka się zmienia i gra arią kommandora.)

TAŃCZĄCY.

Co to jest? — co to?

GOSCIE.

Jaka muzyka ponura!

JEDEN, patrząc w okna.

Jak ciemno, patrzno jaka zebrała się chmura.

(Zamyka okno — słychać z dala grzmot.)

SENATOR.

Coż to? czemu niegrają?

DYREKTOR MUZYKI.

Zmylili się.

SENATOR.

Pałki!

DYREKTOR.

Bo to miano grać różne z opery kawałki,  
Oni niezrozumieli i stąd zamieszanie.

SENATOR.

No, no, no—arrangez donc—no Panowie—Panie.

(Słychać krzyk wielki za drzwiami.)

PANI ROLLISON, za drzwiami okropnym głosem.

Puszczaj mię! puszczaj....

SEKRETARZ.

Slepa!

LORAJ, strwożony.

Widzi—patrz jak sadzi

Po schodach, zatrzymajcie!

DRUDZY LOKAJE.

Kto jej co poradzi!

PANI ROLLISON.

Ja go znajdę tu, tego pijaka, tyrana!

LOKAJ, chce zatrzymać — ona obala jednego z nich.

A! patrz jak obaliła — a! a! opętana.

(Uciekają.)

P. ROLLISON.

Gdzie ty! — znajdę cię, mozgi na bruku rozbiję —  
 Jak mój syn! Ha tyranie! syn mój! syn nie żyje!  
 Wyrzucili go oknem — czy ty masz sumnienie?  
 Syna mego, tam z góry, na bruk, na kamienie.  
 Ha ty pijaku stary, zbryzgany krwią tyłu  
 Niewiniątek, pódz! — gdzie ty, gdzie ty krokodylu?  
 Ja ciebie tu rozedrę, jak mój Jaś, na sztuki. —  
 Syn! wyrzucili z okna, z klasztoru, na bruki.  
 Me dziecko, mój jedynak! mój ojciec żywiciel —  
 A ten żyje i Pan Bóg jest, i jest zbawiciel!

X. PIOTR.

Nie bluźń kobiećo; syn twój zraniony, lecz żyje.

PANI ROLLISON.

Żyje? syn żyje? — czyje to są słowa, czyje?  
 Czy to prawda mój xiężo? — Ja zaraz pobiegłam —  
 „Spadł” krzyczą, — biegnę — wzięli — i zwłok niedo-  
 [strzegłam :  
 Zwłok mego jedynaka — Ja biedna sierota!



Zwłok syna niewidziałam. Widzisz — ta ślepotą!  
 Lecz krew na bruku czułam — przez Boga żywego  
 Tu czuję — krew tę samą, tu krew syna mego,  
 Tu jest ktoś krwią zbryzgany — tu, tu jest kat jego!

(Idzie prosto do senatora — senator umyka się — Pani Rollison pada  
 zemdlona na ziemię — X. Piotr jeden podchodzi do niej ze Starostą —  
 słysząc uderzenie pioranu.)

WSZYSCY, złknięci.

Słowo stało się ciałem. — to tu!

INNI.

Tu! tu!

X. PIOTR.

Nie tu.

JEDEN, patrząc w okno.

Jak blisko — w sam róg domu uniwersytetu.

SENATOR, podchodzi do okna.

Okna doktora!

KTOŚ Z WIDZÓW.

Słyszysz w domu krzyk kobiety?

KTOŚ NA ULICY, śmiejąc się.

Cha — cha — cha — djabli wzięli.

(Pelikan wbiega zmieszany.)

SENATOR.

Nasz doktor?

PELIKAN.

— zabity.

Od piorunu. Fenomen ten godzien rozbiorów :  
Około domu stało dziesięć konduktorów,  
A piorun go w ostatnim pokoju wytropił,  
Nic nieczepsuł i tylko ruble srebrne stopił,  
Srebro leżało w biórku, tuż u głów doktora,  
I zapewne służyło dziś za konduktora.

STAROSTA.

Ruble rossyjskie widzę bardzo niebezpieczne.

SENATOR, do dam.

Panie zmieszały taniec — jak Panie niegrzeczne.

(Widząc że ratują Panią Rollison.)

Wynieście ją, wynieście — pomodz tej kobiecie.

Wynieście ją.

X. PIOTR.

Do syna?

SENATOR.

Wynieście gdzie chcecie.

X. PIOTR.

Syn jęj jeszcze nieumarł, on jeszcze oddycha,  
Pozwol miie iść do niego.

SENATOR.

Idź gdzie chcesz do licha!

(Do siebie.)

Doktor zabity ah! ah! ah! c'est inconcevable!  
Ten xiądz mu przepowiedział—ah! ah! ah! c'est diable!

(Do kompanii.)

No i cóż w tém straszego?—wiosną idą chmury,  
Z chmury piorun wypada : — taki bieg natury.

SOWIETNIKOWA, do męża.

Już gadajcie co chcecie a strach zawsze strachem.  
Ja niechcę dłużej z wami bydź pod jednym dachem ;  
Mówiłam, mężu nie leź do tych spraw dziecinnych—  
Pókiś knutował żydów, chociaż i niewinnych,  
Milczałam — ale dzieci; — a widzisz doktora?

SOWIETNIK.

Głupia jesteś.

SOWIETNIKOWA.

Do domu wracam, jestem chora.

(Słychać znowu grzmot — wszyscy uciekają; naprzód lewa potem prawa strona — Zostają Senator, Pelikan, X. Piotr.)

SENATOR, patrząc za uciekającymi.

Przeklęty doktor! żyjąc nudził mię do mdłości,  
A jak zdechł, patrzaj, jeszcze rozpędza mi gości.

(Do Pelikana.)

Voyez jak ten Xiądz patrzy—voyez quel œil hagard;  
To jest dziwny przypadek, un singulier hasard.  
Powiedz no mój xiężuniu, czy znasz jakie czary,  
Skąd przewidziałeś piorun? — może boskie kary?

(Xiądz milczy.)

Prawdę mówiąc, ten doktor troszeczkę przewinił,  
Prawdę mówiąc, ten doktor nad powinność czynił.  
On aurait fort à dire — kto wie, są przestrogi —  
Mój Boże, czemu prostej nie trzymać się drogi!  
No i cóż Xiężę? — milczy!... milczy i zwiesił nos.  
Ale go puszczę wolno : — on dirait bien des choses!..

(Zamyśla się.)

PELIKAN.

Cha! cha! cha! jeśli śledztwo jest niebezpieczeństwem:  
Toćby nas przecie piorun zaszczycił pierwszeństwem.

X. PIOTR.

Opowiem wam dwie dawne, ale pełne treści...

SENATOR, ciekawy.

O piorunie? — doktorze? — mów!

X. PIOTR.

— Dwie przypowieści.

Onego czasu w upał przyszli ludzie różni  
Zasnąć pod cieniem muru; byli to podróżni.  
Między nimi był zbójca; a gdy inni spali,  
Anioł pański zbudził go: wstań, bo mur się wali.  
On zbójca był ze wszystkich innych najzłośliwszy:  
Wstał, a mur inne pobił. On ręce złożywszy  
Bogu dziękował, że mu ocalono zdrowie.  
A pański anioł stanął przed nim i tak powie:  
Ty najwięcej zgrzeszyłeś! kary niewyminiesz,  
Lecz ostatni najgłośniej, najhaniebniej zginiesz.

IV.

17

A druga powieść taka. — Za czasu dawnego,  
 Pewny wódz rzymski pobił króla potężnego;  
 I kazał na śmierć zabić wszystkie niewolniki,  
 Wszystkie rotmistrze półków i wszystkie setniki.  
 Ale króla samego przy życiu zostawił,  
 Tudzież starosty, tudzież półkownicy zbawił. —  
 I mówili do siebie głupi więźnie owi :  
 Będziem żyć, podziękujmy za życie wodzowi.  
 Aż jeden żołnierz rzymski co im posługował,  
 Rzekł im : za prawdę wodz was przy życiu zachował;  
 Bo was przykuje przy swym tryumfalnym wozie,  
 I będzie oprowadzał po całym obozie,  
 I do miasta powiedzie; bo wy s tych jesteście,  
 Których wodzą po Rzymie oném sławném miescie,  
 Aby lud rzymski krzyknął; patrzcie co wodz zrobił,  
 On takie króle, takie półkownicy pobił :  
 Potém gdy was w łańcuchach złotyeh oprowadzi,  
 Odda was w ręce kata, a kat was osadzi,  
 Na głębokie, podziemne i ciemne wygnanie,  
 Kędy będzie płacz wieczny i zębów zgrzytaue.  
 Tak mówił żołnierz rzymski; — do żołnierza tego  
 Król gromiąc rzekł : twe słowa są słowa głupiego,

Czyś ty kiedy na ucztach z twoim wodzem siedział,  
 Ażebyś jego rady, jego myśli wiedział?  
 Zgromiwszy, pił i śmiał się s swemi spółwięziami,  
 Ze swymi hetmanami i półkownikami.

SENATOR, znudzony.

Il bat la campagne. Xiężę, gdzie chcesz ruszaj sobie.  
 Jeśli cię jeszcze złowię, tak skórę oskrobie,  
 Że cię potem niepozna twa matka rodzona,  
 I będziesz mi wyglądał jak syn Rollisona.

(Senator odchodzi do swoich pokojów z Pelikanem. X. Piotr idzie ku  
 drzwiom i spotyka Konrada, który prowadzony na śledztwo od dwóch  
 żołnierzy, ujrawszy Xiędza wstrzymuje się i patrzy nań długo.)

KONRAD.

Dziwna rzecz, niewidziałem nigdy tej postaci,  
 A znam go jak jednego z mych rodzonych braci.  
 Czy to we śnie!—tak we śnie, teraz przypomniałem,  
 Taż sama twarz, te oczy, we śnie go widziałem.  
 On to zdało się, że mię wrywał z otchłani.

(Do Xiędza.)

Mój Xiężę, choć jesteśmy mało sobie znani,

Przynajmniej xiądz mię nieznasz; przyjmij dziękczynienie  
Za łaskę, którą tylko zna moje sumnienie.

Drodzy są i widziani we śnie przyjaciele,  
Gdy prawdziwych na jawie widzimy tak niewiele.  
Weź proszę ten pierścionek, sprzedaj; daj połowę  
Uboгим, drugą na mszę, za dusze czyscowe; —  
Wiem co cierpią, jeżeli czyściec jest niewolą;  
Mnie, kto wie, czy już kiedy służyć mszy pozwolą.

X. PIOTR.

Pozwolą — Za pierścionek ja ci dam przestrożę.  
Ty pojedziesz w daleką, nieznajomą drogę,  
Będziesz w wielkich, bogatych i rozumnych tłumie,  
Szukaj męża co więcej niżli oni umie;  
Poznasz, bo cię powita pierwszy w Imie Boże,  
Słuchaj co powie...

KONRAD, wpatrując się.

Coż to? tyżeś?.. czy byż może?  
Stój na chwilę... dla Boga...

X. PIOTR.

Bywaj zdrow! nie mogę.



KONRAD.

Jedno słowo...

ŻOŁNIERZ.

Niewolno! każdy w swoją drogę.—

SCENA XI.

NOC DZIADÓW.

OPODAL WIDAĆ KAPLICĘ — SMĘTARZ — GUŚLARZ I  
KOBIEȚA W ŻAŁOBIE.

GUŚLARZ.

Już idą w cerkiew gromady,  
I wkróćce zaczną się dziady.  
Iść nam pora, już noc głucha.

KOBIEȚA.

Ja tam niepójdę guślarzu,  
Ja chcę zostać na smętarczy,  
Chcę jednego widzieć ducha;  
Tego, co przed laty wielu,

IV.

17. .

Zjawił się po mém weselu,  
 Co pośród duchów gromady,  
 Stanął nagle krwawy, blady,  
 I mnie dzikiém okiem łowił  
 I ani słowa nie mówił.

GUŚLARZ.

On żył może gdym go badał,  
 Dla tego nieodpowiadał.  
 Bo u duchów zgromadzenie,  
 W tajemniczą noc na dziady,  
 Można wzywać żywych cienie.  
 Ciała będą u biesiady,  
 Albo u gry albo w boju,  
 I zostaną tam w pokoju ;  
 Dusza zwana po imieniu  
 Objawia się w lekkim cieniu ;  
 Lecz póki żyje, ust nie ma,  
 Stoi biała, głucha, niema.

KOBIĘTA.

Coż znaczyła w piersiach rana ?

GUŚLARZ.

Widać że w duszę zadana.

KOBIĘTA.

Ja tu sama zgubię drogę,

GUŚLARZ.

Ja tu s tobą zostać mogę.

Tam beze mnie zrobią czary,

Jest tam inny guślarz stary. —

Czy słyszysz te śpiewy w dali?

Już się tam ludzie zebrali.

Pierwszą klątwę już zaklęli,

Klątwę wianka i kądzieli,

Wezwali powietrznych duchów.

Widzisz tych świateł tysiące,

Jakby gwiazdy spadające?

Ten ognistych ciąg łańcuchów?

To powietrznych roje duchów.

Patrz już nad kaplicą świecą

Pod czarnym niebiós obszarem,

Jak gołębie kiedy lecą  
 W nocy, nad miasta pożarem,  
 Gdy białemi skrzydeł puchy  
 Odbijając żar ogniska,  
 Ptastwo jak stado gwiazd błyska.

KOBIĘTA.

On niebędzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

Widzisz, blask z kaplicy bucha,  
 Teraz klęli ognia władzą;  
 Ciała w mocy złego ducha,  
 Z pustyni, z mogił wyprowadzą.  
 Tędy będą ciągnąć duchy,  
 Poznasz go jeśli pamiętasz,  
 Ukryj się ze mną w dąb suchy,  
 W ten dąb suchy i wygniły,  
 Tu się niegdyś wróżki kryły.  
 Już rusza się cały smętarz,  
 Rozwierają się mogiły,  
 Wybuchnął płomyk niebieski;

Podskakują w górę deski,  
 Wysuwają potępieńce,  
 Blade głowy, długie ręce;  
 Widzisz oczy jak żarzewie,  
 Schowaj oczy, skryj się w drzewie.  
 Upior zdala wzrokiem piecze,  
 Lecz guślarza nieurzecze.  
 Ha!

KOBIĘTA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Trup to świeży!

W niezgniłej jeszcze odzieży.  
 Dymem siarki trąci w koło,  
 Czarne ma jak węgiel czoło.  
 Zamiast oczu, w jamach czaszki  
 Żarzą się dwie złote blaszki,  
 A w środku każdego kółka  
 Siedzi djablik, jak w źrenicy,  
 I wywraca wciąż koziołka,  
 Miga lotem błyskawicy.

Trup tu bieży, zębem zgrzyta,  
Z ręki przelewa do ręki,  
Jak gdyby z sita do sita,  
Wrzące srebro — słyszysz jęki?

WIDMO.

Gdzie kościół?—gdzie kościół? gdzie boga lud chwali?

Gdzie kościół, ach pokaż człowiecze.

Ach widzisz jak we łbie ten dukat mię pali,

Jak srebro stopione dłoń piecze.

Ach wylej człowieku dla biednej sieroty,

Dla więźnia jakiego, dla wdowy,

Ach wylej mi z ręki żar srebrny i złoty,

I dukat ten wyłup mi z głowy.

Ty niechcesz! ha kruszec przelewać ja muszę,

Aż kiedyś ten dzieci pozerca,

Wyzionie łakomą, bezdenną swą duszę,

Ten kruszec mu wleję do serca.

A potem przez oczy, przez uszy wyleję,

I znowu tém wleję korytém

I będę tym trupem obracać jak sitém,

Naleję, wyleję, przesieję!

Ach kiedyż przez niego ten kruszec przesieję!

Ach czekać tak długo! — goreję! goreję!

(Ucieka.)

GUŚLARZ.

Ha! —

KOBIĘTA.

Co widzisz?

GUŚLARZ.

Ha jak blisko!

Drugi wylazł, ku nam bieży,

Jakie obrzydłe trupisko!

Blade, tłuste, trup to świeży,

I strój świeży ma na ciele,

Ubrany jak na wesele;

I gad niedawno go toczy,

Ledwie mu w pół wygryzł oczy.

Od kaplicy w stronę skoczył,

Czart go uwiodł, czart zamroczył,

Niepusci go do kaplicy.

Czart przybrał postać dziewicy;

I na trupa rączką kiwa,  
 Okiem mruga, śmiechem wzywa;  
 Skacze ku niéj trup zwiedziony,  
 Z grobu na grób, jak szalony,  
 I rękami i nogami  
 Wije, jak wiatrak skrzydłami —  
 Już pada do jéj uscisków;  
 W tém z pod nóg jego wytryska,  
 Dziesięć długich czarnych pysków,  
 Wyskakują czarne psiska,  
 Od nóg lubej go porwały,  
 I targają na kawały,  
 Członki krwawym pyskiem trzęsą,  
 Po polu roznoszą mięso.

Psy zniknęły — Nowe dziwo,  
 Każda część trupa jest żywą:  
 Wszystkie jak oddzielne trupy  
 Biegą zebrać się do kupy.  
 Głowa skacze jak ropucha  
 I nozdrzami ogień bucha;  
 Czołgają się piersi trupa,



Jak wielka żuźwia skorupa —  
 Już zrosła się głowa s ciałem,  
 Jak krokodyl bieży cwałem.  
 Oderwanėj ręki palce  
 Drżą, wiją się jak padalce;  
 Dłoń za piasek chwyta, grzebie,  
 I ciągnie rękę pod siebie,  
 I nogi się przyczółgały,  
 I znowu trup wstaje cały.  
 Znowu wabi ulubiona,  
 Znowu pada w jēj ramiona,  
 Znowu go porwały czarty,  
 I znowu w sztuki rozdarty —  
 Ha! niech go więcėj nie widzę!

KOBIETA.

Tak się boisz?

GUŚLARZ.

Tak się brzydę!

Żółwie, padalce, ropuchy :  
 W jednym trupie tyle gadów!

KOBIĘTA.

On nie będzie z temi duchy!

GUŚLARZ.

W krótcie, wkrótcie koniec dziadów.  
Słyszysz — trzeci kur już pieje;  
Tam śpiewają ojców dzieje,  
I roschodzą się gromady.

KOBIĘTA.

I nieprzyszedł on na dziady!

GUŚLARZ.

Jeśli duch ten jeszcze w ciele,  
Wymów teraz jego imie,  
Ja na czarodziejskie ziele,  
W tajemniczym zaklnę rymie;  
I duch ciało swe zostawi,  
I przed tobą się objawi.

KOBIĘTA.

Wymówiłam —

GUŚLARZ.

On niesłucha —

Ja zakląłam.

KOBIĘTA.

Nić ma ducha!

GUŚLARZ.

O kobięto! twój kochanek,  
 Albo zmienił ojców wiarę,  
 Albo zmienił imię stare.  
 Widzisz, już zbliża się ranek,  
 Guśła nasze moc straciły,  
 Niepokaże się twój miły.

(Wychodzą z drzewa.)

Cóż to? cóż to! — patrz z zachodu,  
 Tam od Giedymina grodu,  
 Śród gęstych kłębów zamieci,  
 Kilkadziesiąt wozów leci,  
 Wszystkie lecą ku północy,  
 Lecą ile w koniach mocy.  
 Widzisz, jeden tam na przedzie.  
 W czarnym stroju —

KOBIĘTA.

On!

GUŚLARZ.

Tu jedzie.

KOBIĘTA.

I znowu nazad zawrócił,  
I tylko raz okiem rzucił,  
Ach raz tylko. — jakie oko!

GUŚLARZ

Piers miał zbroczoną posoką,  
Bo w téj piersi jest ran wiele:  
Straszne cierpi on katusze,  
Tysiąc mieczów miał on w ciele,  
A wszystkie przeszły — aż w duszę.  
Śmierć go chyba z ran uleczy.

KOBIĘTA.

Któż weń wraził tyle mieczy?

GUŚLARZ.

Narodu nieprzyjaciele.

KOBIĘTA.

Jedną ranę miał na czole,  
Jedną tylko i niewielką,  
Zda się być czarną kropelką.

GUŚLARZ.

Ta największe sprawia bole ;  
Jam ją widział, jam ją zbadał,  
Tę ranę sam sobie zadał,  
Smierć z niej uleczyć niemoże.

KOBIĘTA.

Ach ulecz go wielki Boże!

KONIEC AKTU PIERWSZEGO.



# **Dziadów**

**CZĘŚCI III.**

**USTĘP.**





DROGA DO ROSSYI.

Po śniegu, coraz ku dzikszej krainie  
 Leci kibitka, jako wiatr w pustynie,  
 I oczy moje, jako dwa sokoły  
 Nad oceanem nieprzejrzanym krążą,  
 Porwane burzą, do lądu niezdążą,  
 A widzą obce pod sobą żywioły,  
 Niémają kędy spocząć, skrzydła zwinąć,  
 W dół patrzą, czując że tam muszą zginąć.

Oko niespotka ni miasta ni góry,  
 Żadnych pomników ludzi, ni natury;  
 Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,  
 Jak gdyby wczora wieczorem stworzona.  
 A przecież nieraz Mamut z tych ziem wstaje;  
 Żeglarz przybyły z falami potopu,  
 I mową obcą moskiewskiemu chłopu,  
 Głosi, że dawno stworzone te kraje,  
 I w czasach wielkiej Noego żeglugi,  
 Ląd ten handlował z azyjskimi smugi —

A przecież nieraz xiążka ukradziona',  
 Lub gwałtem wzięta, przybywszy z zachodu  
 Mówi, że ziemia ta niezaludniona  
 Już niejednego jest matką narodu.  
 Lecz nurt potopu szedł przez te płaszczyny,  
 Nie zostawiwszy dróg swojego rycia,  
 I hordy ludów wyszły z tej ojczyzny,  
 Nie zostawiwszy śladów swego życia;  
 I gdzieś daleko na alpejskiej skale,  
 Ślad zostawiły stąd przybyłe fale,  
 I jeszcze dalej, na Rzymu pomnikach,  
 O stąd przybyłych mówią rozbojnikach.

Kraina pusta, biała i otwarta,  
 Jak zgotowana do pisania karta —  
 Czyż na niej pisać będzie palec Boski,  
 I ludzi dobrych używszy za głoski,  
 Czyliż tu skryśli prawdę świętej wiary,  
 Że miłość, rządzi plemieniem człowieczemu,  
 Że trofeami świata są : ofiary?  
 Czyli też Boga nieprzyjaciel stary  
 Przyjdzie i w xiędze tej wryje mieczem,

Że ród człowieczy ma bydź w więzy kuty,  
 Że trofeami ludzkości są : knuty ?

Po polach białych, pustych, wiatr szaleje,  
 Bryły zamieci odrywa i ciska,  
 Lecz morze śniegów wzdęte, nie czernieje,  
 Wyzwane wichrem powstaje z łożyska,  
 I znowu jakby nagle skamieniałe,  
 Pada ogromne, jednostajne, białe.  
 Czasem ogromny Huragan wylata  
 Prosto z biegunów; niewstrzymany w biegu  
 Aż do Euxinu równinę zamiata,  
 Po całej drodze miecąc chmury śniegu;  
 Często podróżne kibitki zakopie,  
 Jak Sylum błędnych Libow przy Kanopie.  
 Powierzchnie białych, jednostajnych śniegów,  
 Gdziekolwiek ściany czarniawe przebodły,  
 I sterczą nakształt wysp i ładu brzegów :  
 To są północne świerki, sosny, jodły.

Gdziekolwiek drzewa siekierą zrąbane,  
 Odarte i w stos złożone poziomy,

Tworzą kształt dziwny, jakby dach i ścianę,  
 I ludzi kryją, i zowią się : domy.  
 Dalej tych stosów rzucone tysiące  
 Na wielkiem polu, wszystkie jednej miary :  
 Jak kitki czapek dmą s kominów pary,  
 Jak ładownice, okienka błyszczące;  
 Tam domy rzędem szykowane w pary,  
 Tam czworobokiem; tam kształtnym obwodem;  
 I taki domów półk zowie się : grodem.

Spotykam ludzi — z rozrosłemi barki,  
 S piersią szeroką, z otyłemi karki;  
 Jako zwierzęta i drzewa północy  
 Pełni czerstwości i zdrowia i mocy.  
 Lecz twarz każdego jest jak ich kraina,  
 Pusta, otwarta i dzika równina;  
 I z ich serc jako z wulkanów podziemnych  
 Jeszcze nieprzeszedł ogień aż do twarzy,  
 Ani się w ustach rozognionych żarzy,  
 Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych;  
 Jak w twarzach ludzi wschodu i zachodu,  
 Przez które przeszło tyle po kolei

Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,  
 Że każda twarz jest pomnikiem narodu.  
 Tu oczy ludzi, jak miasta téj ziemi,  
 Wielkie i czyste — i nigdy zgiełk duszy  
 Niezwykłym rzutem źrenic nieporuszy :  
 Nigdy ich długa żałość nie zaciemi ;  
 Zdaleka patrząc, — wspaniałe, przecudne ;  
 Wszedłszy do środka, — puste i bezludne.  
 Ciało tych ludzi, jak gruba tkanica,  
 W której zimuje dusza gąsiennica,  
 Nim sobie piersi do lotu wyrobi,  
 Skrzydła wyprzędzie, wytcze i ozdobi :  
 Ale gdy słońce wolności zaswieci,  
 Jakież z powłoki tej owad wyleci?  
 Czy motyl jasny wzniesie się nad ziemię,  
 Czy ćma wypadnie, brudne nocy plemień?

Nawskróś pustyni krzyżują się drogi,  
 Nie przemysł kupców ich ciągi wymyślił,  
 Niewydeptały ich karawan nogi ;  
 Car ze stolicy palcem je nakryślił.  
 Gdy z polską wioską spotkał się ubogą,

Jeżeli trafił w polskich zamków ściany,  
 Wioska i zamek wnet z ziemią zrównany,  
 I car ruiny ich zasypał — drogą.  
 Dróg tych niedojrzyć w polu między śniegi,  
 Ale wśród puszczy doszedzi je oko :  
 Proste i długie na północ się wloką.  
 Swiecą się w lesie, jak w skałach rzek biegi.

I po tych drogach ktoż jeździ? — Tu cwałem  
 Konuica wali przypruszona śniegiem,  
 A stamtąd czarnym piechota szeregiem  
 Między dział, wozów i kibitek wałcem.  
 Te półki podług carskiego ukazu  
 Ciągną ze wschodu, by walczyć s północą;  
 Tamte s północy idą do Kaukazu;  
 Żaden z nich niewieć, gdzie idzie i po co?  
 Żaden niepyta. Tu widzisz Mogoła  
 Z nabrzmałem licem, małym krzywem okiem;  
 A tam chłop biedny z litewskiego sioła,  
 Wybladły, tęskny idzie chorym krokiem.  
 Tu błyszczą strzelby angielskie, tam łuki  
 I zmarzłą niosą cięciwę kałmuki.

Ich oficery? — Tu Niemiec w karecie,  
 Nóćąc Szyllera pieśń sentymentalną,  
 Wali spotkanych żołnierzy po grzbiecie.  
 Tam Francuz gwizdząc w nos pieśń liberalną,  
 Błądny Filozof, kariery szuka,  
 I gada teraz z dowodzcą kałmuka  
 Jakby najtaniej wojsku żywność kupić.  
 Cóż że połowę wymorzą tej zgrai,  
 Kassy połowę będą mogli złupić;  
 I jeśli zręcznie dzieło się utai,  
 Minister wzniesie ich do wyższej klasy,  
 A car da order za oszczędność kassy.

A w tém kibitka leci — przednie strażę,  
 I dziań lawety i chorych obozy,  
 Pryskają z drogi kędy się ukaże,  
 Nawet dowodzców ustępują wozy.  
 Leci kibitka; żandarm powoznika  
 Wali kułakiem, powoznik żołnierzy  
 Wali biczykiem, wszystko z drogi zmyka,  
 Kto się nieumknał, kibitka nań wbieży.  
 Gdzie? — Kto w niej jedzie? — Nikt uieśmie zapytać.

Żandarm tam jechał, pędzi do stolicy,  
 Zapewne cesarz kazał kogoś schwytać.  
 « Może ten żandarm jedzie z zagranicy? »  
 Mówi Generał; — « kto wie kogo złowił :  
 Może król pruski, francuski, lub saski,  
 Lub inny Niemiec wypadł z Cara Łaski,  
 I car go w turmie zamknąć postanowił ;  
 Może ważniejsza pochwyciona głowa,  
 Może samego wiozą Jermołowa <sup>8</sup>.  
 Kto wie! ten więzień chociaż w śłomie siedzi,  
 Jak dziko patrzy! jaki to wzrok dumy :  
 Wielka osoba — za nim wozów tłumy ;  
 To pewnie orszak nadwornój gawiedzi ;  
 A wszyscy, patrz — no, jakie oczy śmiałe ;  
 Myślałem że to pierwsze carstwa pany,  
 Że Jenerały, albo szambelany,  
 Patrz, oni wszyscy — to są chłopcy małe.  
 Co to ma znaczyć, gdzie ta zgraja leci?  
 Jakiegoś króla podejrżane dzieci. »  
 Tak s sobą cicho dowodzczy gadali ;  
 Kibitka prosto do stolicy wali.



PRZEDMIEŚCIA STOLICY.

Zdala, już zdala widno że stolica.  
 Po obu stronach wielkiej, pysznej drogi,  
 Rzędy pałaców — Tu niby kaplica  
 Z kopułą, z krzyżem; tam jak siana stogi  
 Posągi stoją pod słomą i śniegiem;  
 Ówdzie za kolumn koryntckich szeregiem,  
 Gmach s płaskim dachem, pałac letni, włoski,  
 Obok Japońskie, mandaryńskie kioski,  
 Albo z klassycznych czasów Katarzyny,  
 Świeżo maśpione klassyczne ruiny.  
 Różnych porządków, różnych kształtów domy  
 Jako zwierzęta z różnych końców ziemi,  
 Za parkanami stoją żelaznemi,  
 W osobnych klatkach — Jeden niewidomy,  
 Pałac, krajowej ich architektury,  
 Wymyśl ich głowy, dziecko ich natury.  
 Jakże tych gmachów cudowna robota!  
 Tyle kamieni na kępach śród błota!  
 W Rzymie by dźwignąć teatr dla cesarów

Musiano niegdyś wylać rzekę złota;  
 Na tém przedmieściu podłe sługi carów,  
 By swe rokoszne zamtuzy dźwignęli,  
 Ocean naszej krwi i łez wyleli.

Żeby zwieźć głowy od tych obelisków  
 Ileż wymyślić trzeba było śpisków;  
 Ilu niewinnych wygnać albo zabić,  
 Ile ziem naszych okraść i zagrabieć;  
 Póki krwią Litwy, łzami Ukrainy,  
 I złotem Polski, hojnie zakupiono  
 Wszystko, co mają Paryże, Londyny,  
 I po modnemu gmachy wystrojono,  
 Szampanem zmyto podłogi buffetów  
 I wydeptano krokiem menuetów.

Teraz tu pusto — Dwór w mieście zimuje,  
 I dworskie muchy, ciągnące za wonią  
 Carskiego ścierwa, za niém w miasto gonią.  
 Teraz w tych gmachach wiatr tylko tańcuje;  
 Panowie w mieście, car w mieście. — Do miasta  
 Leci kibitka; zimno, śnieżno było;

Z zegarów miejskich zagrzmiała dwónasta,  
 A słońce już się na zachód chyliło 10.  
 Niebios sklepienie otwarte szeroko,  
 Bez żadnej chmurki, czcze, ciche i czyste,  
 Bez żadnej barwy, blado przezroczyste  
 Jako zmarzłego podróżnika oko.

Przed nami miasto — nad miastem do gory  
 Wznoszą się dziwnie, jak podniebne grody,  
 Słupy i sciany, krużganki i mury,  
 Jak babilońskie wiszące ogrody :  
 To dymy z dwiestu tysięcy kominów  
 Prosto i gęsto kolumnami lecą,  
 Te jak marmury kararyjskie świecą,  
 Tamte się żarzą iskrami rubinów ;  
 W górze wierzchołki zginają i łączą,  
 Kręcą w krużganki, i łukami płaczą  
 I scian i dachów malują widziadła : —  
 Jak owe miasto co nagle powstanie  
 Ze śródziemnego czystych wód zwierciadła,  
 Lub na Libijskim wybuchnie tumanic,  
 I wabi oko podróżnych zdaleka,

I wiecznie stoi, i wiecznie ucieka".  
 Już zdjęto łańcuch, bramy otwierają,  
 Trzęsą, badają, pytają — wpuszczają.

### PETERZBURG.

Za dawnych greckich i italskich czasów,  
 Lud się budował pod przybytkiem Boga,  
 Nad źródłem nimfy, pośród świętych lasów,  
 Albo na górach chronił się od wroga.  
 Tak zbudowano Ateny, Rzym, Spartę. —  
 W wieku Gotyckim, pod wieżą barona,  
 Gdzie była cała okolice obrona,  
 Stawały chaty do wałów przyparte;  
 Albo pilnując spławnej rzeki cieków  
 Rosły powoli s postępami wieków.  
 Wszystkie te miasta jakieś bóstwo wzniosło,  
 Jakiś obrońca, lub jakieś rzemiosło.

Ruskiej stolicy jakież są początki?  
 Skąd się zachciało sławiańskim tyśiącom

Leżć w te ostatnie swoich dzierzaw kątki  
 Wydarte świeżo morzu i Czuchoncom<sup>12</sup> ?  
 Tu grunt niedaje owoców ni chleba,  
 Wiatry przynoszą tylko śnieg i słońcy;  
 Tu zbyt gorące lub zbyt zimne nieba,  
 Srogie i zmienne jak humor despoty ?  
 Niechcieli ludzie; — błotne okolice  
 Car upodobał, i stawić rozkazał,  
 Nie miasto ludziom, lecz sobie stolicę :  
 Car tu wszechmocność woli swój pokazał. —

W głąb ciekłych piasków, i błotnych zatopów,  
 Rozkazał wpędzić sto tysięcy palów,  
 I wdeptać ciałą stu tysięcy chłopów.  
 Potem na palach, i ciałach Moskalów  
 Grunt założywszy, inne pokolenia  
 Zaprzął do taczek, do wozów, okrętów,  
 Sprowadzać drzewa i sztuki kamienia,  
 Z dalekich lądów i z morskich odmetów<sup>13</sup>.

Przypomniał Paryż — w wnet paryskie place  
 Kazał budować. Widział Amsterdamy ;

Wnet wodę wpuscił i porobił tamy.  
 Słyszał że w Rzymie są wielkie pałace;  
 Pałace stają. Wenecka stolica,  
 Co w pół na ziemi, a do pasa w wodzie  
 Pływa, jak piękna syrena-dziewica,  
 Uderza Cara — i zaraz w swym grodzie  
 Porzwał błotniste kanałami pole,  
 Zawiesił mosty i puścił gondole.  
 Ma Wenecyą, Paryż, Londyn drugi,  
 Prócz ich piękności, poloru, żeglugi.  
 U architektów sławne jest przysłowie  
 Że ludzi ręką był Rzym budowany,  
 A Wenecyą stawili bogowie;  
 Ale kto widział Peterzburg, ten powie  
 Że budowały go chyba szatany.

Ulice wszystkie ku rzecę pobiegły :  
 Szerokie, długie, jak wąwozy w górach.  
 Domy ogromne : — tu głazy, tam cegły,  
 Marmur na glinie, glina na marmurach ;  
 A wszystkie równe i dachy i sciany,  
 Jak korpus wojska na nowo ubrany.

Na domach pełno tablic i napisów :  
 Środ pism tak różnych, języków tak wielu,  
 Wzrok, ucho błądzi, jak w wieży Babelu.  
 Napis : « *tu mieszka Achmet Han Kirgissów*  
*Rządzący polskich spraw departamentem*  
*Senator* » — napis « *Tu monsieur Żoko*  
*Lekcyę daje paryskim akcentem,*  
*Jest kuchtą dworskim, wódczanym poborcą,*  
*Basem w orkiestrze, przytém szkoł dozorcą.* »  
 Napis. — « *tu mieszka Włoch Piacere Gioco.*  
*Robił dla frejlin Carskich salcessony,*  
*Teraz panienski pensyon otwiera.* »  
 Napis — « *Mieszkanie pastora Dienera,*  
*Wielu orderow Carskich kawalera.*  
*Dziś na kazanie wykłada z ambony,*  
*Że Car jest Papież z Bożego ramienia.*  
*Pan samowładny wiary i sumnienia.*  
*I wzywa przy tém braci kalwinistów,*  
*Socynianów i Anabaptystów,*  
*Aby jak każe Imperator ruski*  
*I jego wierny Aliant król Pruski,*  
*Przyjąwszy nową wiarę i sumnienie,*

*Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie* <sup>14.</sup> »  
 Napis — « *tu stroje damskie — dalej, nóty ;*  
 Tam robią « *dzieciom zabawki — tam : knuty.*

W ulicach koczę, karety, landary,  
 Mimo ogromu i bystrego lotu  
 Na łyżwach błysną, znikną, bez łoskotu,  
 Jak w panorama czarodziejskie mary.  
 Na kozłach koczów angielskich, brodaty  
 Siedzi woznica; szron mu okrył szaty,  
 Brodę i wąsy i brwi; biczem wali;  
 Przodem na koniach lecą chłopcy mali  
 W kożuchach, istne dzieci boreasza;  
 Swiszczą piskliwie, i gmin się rosprasza,  
 Pierzcha przed koczem saneczek gromada,  
 Jak przed okrętem białych kaczek stada.  
 Tu ludzie biegą, każdego mróz goni,  
 Zaden nie stanie, nie patrzy, niegada;  
 Każdego oczy zmrużone, twarz blada,  
 Każdy trze ręce i zębami dzwoni,  
 I z ust każdego wyzioniona para  
 Wychodzi sępem, prosta, długa, szara.



Widząc te dymem buchające gminy,  
 Myślisz że chodzą po mieście kominy <sup>15</sup>.  
 Po bokach gminnej cisnącej się trzody,  
 Ciągną poważnie dwa ogromne rzędy,  
 Jak processye w kościelne obrzędy,  
 Lub jak nadbrzeżne bystrej rzeki lody.  
 I gdzież ta zgraja wlecze się powoli,  
 Na mróz nieczuła jak trzoda soboli? —  
 Przechadzka modna jest o tej godzinie;  
 Zimno i wietrzno, ale któż dba o to,  
 Wszak Cesarz tędy zwykł chodzić piechoto,  
 I cesarzowa, i dworu mistrzynie.  
 Idą marszałki, damy, urzędniki,  
 W równych abcugach : pierwszy, długi, czwarty,  
 Jako rzucane z rąk szulera karty,  
 Króle, wyżniki, damy i niżniki,  
 Starki, i młodki, czarne i czerwone  
 Padają na tę i na ową stronę;  
 Po obu stronach wspaniałej ulicy,  
 Po mostkach lśnącym wysłanych granitem.  
 A naprzód idą dworscy urzędnicy :  
 Ten w futrze ciepłym, lecz nawpół odkrytym,

Aby widziano jego krzyżów cztery ;  
 Zmarznie, lecz wszystkim pokaże ordery,  
 Wyniosłem okiem równych sobie szuka,  
 I gruby, peźnie wolnym chodem żuka.  
 Dalej gwardyjskie modniejsze młokosy,  
 Proste i cienkie jak ruchome piki,  
 W pół ciała tego związane jak osy.  
 Dalej z pochyłym karkiem czynownicy,  
 Z podełba patrzą komu się pokłonić,  
 Kogo nadeptać a od kogo stronić,  
 A każdy giętki, we dwoje skurczony,  
 Tuląc się peźną, jako skorpiony.  
 Pośrodku damy, jako pstre motyle,  
 Tak różne płaszczce, kapelusów tyle ;  
 Każda w paryskim świeci się stroiku  
 I nożką miga w futrzanym trzewiku.  
 Białe jak śniegi, rumiane jak raki —  
 W tem dwór odjeżdża ; stanęły orszaki.  
 Podbiegły wozy, ciągnące jak statki  
 Obok pływaczów w głębokiej kąpieli.  
 Już pierwsi w wozy wsiedli i zniknęli ;  
 Za nimi pierzebły piechotne ostatki.

Nie jeden kaszlem suchotniczym stęknie  
 A przecież mówi : jak tam chodzić pięknie !  
 Cara widziałem , i przed Jenerałem  
 Nisko kłaniałem i s paziem gadałem !

Szło kilku ludzi między tym natłokiem,  
 Różni od innych twarzą i odzieniem,  
 Na przechodzących ledwo rzucą okiem,  
 Ale na miasto patrzą z zadumieniem.  
 Po fundamentach, po scianach, po szczytach,  
 Po tych żelazach i po tych granitach  
 Czepiają oczy, jakby probowali  
 Czy mocno każda cegła osadzona ;  
 I opuścili z rozpaczą ramiona,  
 Jak gdyby myśląc, człowiek ich nie zwali !  
 Dumali — poszli — został z jedynastu  
 Pielgrzym sam jeden, zaśmiał się złośliwie,  
 Wznosił rękę, scisnął i uderzył mściwie  
 W głaz ; jakby groził temu głazów miastu.  
 Potém na piersiach założył ramiona  
 I stał dumając i w cesarkim dworze  
 Utkwił źrenice dwie, jako dwa noże ;

I był podobny w ten czas do Samsona,  
 Gdy zdradą wzięty i skuty więzami  
 Pod Filistynów dumał kolumnami.  
 Na czoło jego nieruchome, dumne,  
 Nagły cień opadł, jak całun na trumnę,  
 Twarz blada strasznie zaczęła się mroczyć;  
 Rzekłbyś że wieczor co już z niebios spadał,  
 Naprzód na jego oblicze osiadał,  
 I stantąd dalej miał swój cień roztoczyć.

Po prawej stronie już pustej ulicy  
 Stał drugi człowiek — niebył to podróżny,  
 Zdał się być dawnym mieszkańcem stolicy;  
 Bo rozdawając między lud jałmużny,  
 Każdego z biednych po imieniu witał,  
 Tamtych o żony, tych o dzieci pytał.  
 Odprawił wszystkich, wsparł się na granicę  
 Brzeżnych kanałów, i wodził oczyma  
 Po ścianach gmachów i po dworca szczytynie,  
 Lecz nie miał oczu owego pielgrzymy;  
 I wzrok wnet spuszczał, kiedy szedł zdaleka

Biedny zebrzący żołnierz lub kaleka.  
 Wzniósł w niebo ręce, stał i dumał długo —  
 W twarzy miał wyraz niebieskiej rozpaczy.  
 Patrzył jak anioł, gdy z niebios posługa  
 Między czyscowe dusze sstąpić raczy :  
 I widzi całe w męczarniach narody,  
 Czuje co cierpią, mają cierpieć wieki —  
 I przewiduje, jak jest kres daleki  
 Tylu pokoleń zbawienia — swobody.  
 Oparł się płacząc na kanałow brzegu,  
 Łzy gorzkie biegły i zginęły w śniegu;  
 Lecz Bóg je wszystkie zbierze i policzy,  
 Za każdą odda ocean słodyczy.

Pozno już było, oni dwaj zostali,  
 Oba samotni, i chociaż odlegli,  
 Nakoniec jeden drugiego postrzegli,  
 I długo siebie nawzajem zważali.  
 Pierwszy postąpił człowiek z prawej strony :  
 Bracie, rzekł, widzę żeś tu zostawiony  
 Sam jeden, smutny, cudzoziemiec może,  
 Co ci potrzeba, rozkaż w Imie Boże ;

Chrześcijaninem jestem i Polakiem,  
Witam cię krzyża i pogoni znakiem.

Pielgrzym zhyt swemi myślami zaięty,  
Otrząsnął głową i uciekł z wybrzeża;  
Ale nazajutrz gdy myśli swych męty  
Zwolna rozjaśnia i pamięć odświeża,  
Nieraz załuje owego natręta,  
Jeśli go spotka, pozna go, zatrzyma;  
Choć rysow jego twarzy nie pamięta,  
Lecz w głosie jego i w słowach coś było  
Znanego uszom i duszy pielgrzymu —  
Może się o nim pielgrzymowi sniło.

### POMNIK PIOTRA WIELKIEGO.

Z wieczora na dżdżu stali dwaj młodzieńce  
Pod jednym płaszczem, wzięwszy się za ręce:  
Jeden ów pielgrzym przybylec z zachodu,  
Nieznana carskiej ofiara przemocy;  
Drugi był wieszczem ruskiego narodu,  
Sławny pieśniami na całej północy.

Znali się z sobą, niedługo, lecz wiele —  
 I od dni kilku już są przyjaciela.  
 Ich dusze wyższe nad ziemne przeszkody  
 Jako dwie Alpów spokrewnione skały,  
 Choć je na wieki rozerwał nurt wody :  
 Ledwo szum słyszą swej nieprzyjaciółki,  
 Chyląc ku sobie podniebne wierzchołki.  
 Pielgrzym coś dumał nad Piotra kolosem,  
 A wieszcz rossyjski tak rzekł cichym głosem :

Pierwszemu z carów co te zrobił cuda,  
 Druga carowa pamiątek stawiała <sup>16</sup>.  
 Już car odlany w kształcie wielkoluda  
 Siadł na brązowym grzbiecie bucefała,  
 I miejsca czekał gdzieby wjechał konno.  
 Lecz Piotr na własnej ziemi stać niemoże,  
 W ojczyźnie jemu niedosyć przestronno,  
 Po grunt dla niego posłano za morze.  
 Posłano wyrwać z Finlandzkich nadbrzeży  
 Wzgorek granitu ; ten na Pani słowo  
 Płynię po morzu i po lądzie bieży,  
 I w mieście pada na wznak przed carową <sup>17</sup>.

Już wzgórek gotów; leci car miedziany,  
 Car knutowładny w todze Rzymianina,  
 Wskakuje rumak na granitu sciany,  
 Staje na brzegu i w górę się wspina.

Nie w tej postawie świeci w starym Rzymie  
 Kochanek ludow, ów Marek Aureli;  
 Który tém naprzod rozsławił swe imie,  
 Że wygnał szpiegów i donosicieli :  
 A kiedy zdzierców domowych poskromił,  
 Gdy nad brzegami Renu i Paktolu,  
 Hordy najezdzców barbarzyńskich zgromił,  
 Do spokojnego wraca Kapitolu.  
 Piękne, szlachetne, łagodne ma czoło,  
 Na czole błyszczy myśl o szczęściu państwa;  
 Rękę poważnie wznosił, jak gdyby w koło  
 Miał błogosławić tłum swego poddaństwa,  
 A drugą rękę opuścił na wodze,  
 Rumaka swego zapędy ukraca.  
 Zgadniesz że mnogi lud tam stał na drodze,  
 I krzyczał : cesarz, ojciec nasz powraca!  
 Cesarz chciał zwolna jechać między tłokiem



Wszystkich ojcowskiem udarować okiem.  
 Koń wzdyma grzywę, żarem z oczu świeci,  
 Lecz zna że wiezie najmilszego z gości,  
 Że wiezie ojca milionom dzieci,  
 I sam hamuje ogień swej żywości;  
 Dzieci przyjsć blisko, ojca widzieć mogą,  
 Koń równym krokiem, równą stąpa drogą.  
 Zgadniesz że dójdzie do nieśmiertelności <sup>18</sup>!

Car Piotr wypuścił rumakowi wodze,  
 Widać że leciał tratując po drodze,  
 Od razu wskoczył aż na sam brzeg skały.  
 Już koń szalony wzniosł w górę kopyta,  
 Car go nietrzyrna, koń wędzidłem zgrzyta,  
 Zgadniesz że spadnie i pryśnie w kawały.  
 Od wieku stoi, skacze lecz niespada  
 Jako lecąca z granitów kaskada,  
 Gdy ścięta mrozem, nad przepaścią zwisnie : —  
 Lecz skoro słońce swobody zabłysznie,  
 I wiatr zachodni ogrzeje te państwa,  
 I coż się stanie z kaskadą tyraństwa?

## PRZEGLĄD WOJSKA.

Jest plac ogromny : jedni zowią szczwalnią,  
 Tam car psy wtrawia , nim pusi na zwierza ;  
 Drudzy plac zowią grzeczniej, gotowalnią,  
 Tam car swe stroje probuje , przymierza ,  
 Nim w rury, w piki, w działa ustrojony,  
 Wyjdzie odbierać monarchów pokłony. —  
 Kokietka idąc na bal do pałacu,  
 Nie tyle trawi przed zwierciadłem czasów,  
 Nierobi tyle umizgów, grymasów,  
 Ile car codzien na tym swoim placu.  
 Inni w tym placu widzą saranczarnię,  
 Mówią że car tam hoduje nasiona,  
 Chmury sarańczy, która wypasiona  
 Wyleci kiedyś i ziemię ogarnie.  
 Są, co plac zowią toczydłem Chirurga  
 Bo tu car naprzód lancety szlifuje,  
 Nim wyciągnąwszy rękę z Petersburga,  
 Tnie tak, że cała Europa poczuje ;  
 Lecz nim wysledzi jak głąboka rana ,

Nim plastr obmyśli od nagłej krwi straty,  
 Już car puls przetnie Szacha i Sułtana,  
 I krew wypusci z pod serca Sarmaty.  
 Plac różnych imion, lecz w języku rządów,  
 Zowie się placem wojskowych przeglądów.

Dziesiąta — ranek — już przeglądów pora,  
 Już plac okrąża ludu zgraja cicha,  
 Jako brzeg czarny białego jeziora;  
 Każdy się tłoczy, na środek popycha.  
 Po placu jako rybitwy nad wodą,  
 Zwija się kilku dońców i dragunów,  
 Ciekawsze głowy tylcem piki bodą,  
 Na bliższe karki sypią grad bizunów.  
 Kto wylazł na przód jak żaba z bagniska,  
 Ze łbem się cofa i kark w tłumy wciska.  
 Słysząc grzmot zdala, głuchy, jednostajny,  
 Jak kucie młotów, lub młócenie cepów;  
 To bęben pułków, przewodnik zwyczajny,  
 Za nim szeregi ciągną się wzdłuż stepów.  
 Mnogie i różne, lecz w jednym ubiorze,  
 Zielone, w sniegu czernią się zdaleka;

I płynie każda kolumna jak rzeka,  
I wszystkie w placu toną jak w jeziorze.

Tu mi daj muzo usta stu Homerów,  
W każde wsadź ze sto paryskich języków,  
I daj mi pióra wszystkich buchhalterów,  
Bym mógł wymienić owych półkowników,  
I officerów i podofficerów.  
I szeregowych zliczyć bohaterów.

Lecz bohaterzy tak podobne sobie,  
Tak jednostajne! stoi chłop przy chłopie  
Jako rząd koni żujących przy żłobie,  
Jak kłosa w jednym uwiązane snopie;  
Jako zielone na polu konopie,  
Jak wiersze wiąski, jak skiby zagonów,  
Jak petersburskich rozmowy salonów.  
Tyle dostrzegłem, że jedni z moskalów,  
Wyżsi od drugich na pięć lub sześć calów,  
Mieli na czapkach mosiężne litery  
Jakby łysinki — to grenadiery:  
I było takich trzy zgraie węsalsów.

Za nimi niżsi stali w mnogich rzędach  
 Jak pod liśćcami ogórki na grzędach.  
 Żeby rozróżnić półki w tej piechocie  
 Trzeba mieć bystry wzrok naturalisty,  
 Który przegląda wykopane w błocie,  
 I gatuukuje i nazywa glisty.

Zagrzmiały trąby — to konne orszaki,  
 I rozmaitsze, ufanów, huzarów,  
 Dragonów : czapki, kirysy, kołpaki —  
 Myślałbyś że tu kapelusznik jaki  
 Rozłożył składy swych różnych towarów ;  
 W końcu półk wjechał : — chłopy gdyby hlaki,  
 Okute miedzią, jak rząd samowarów,  
 A spodem pyski końskie jako haki.  
 Półki w tak różnych ubiorach i broniach  
 Najlepiej będzie rozróżnić po koniach ;  
 Bo tak i nowa taktyka doradza,  
 I z obyczajem ruskim to się zgadza.  
 Napisał wielki Generał Żomini,  
 Że koń nie człowiek dobrą jazdę czyni,  
 Dawno już o tém wiedzieli Rusini :

Bo za dobrego konia gwardyaka,  
 Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy<sup>19</sup>;  
 Oficerskiego cena jest czworaka,  
 I za takiego konia dać należy  
 Lutnistę, skoczka, albo też pisarza,  
 A w czasach drogich nawet i kucharza.  
 Skarbowe chude, poderwane klacze,  
 Nawet te które wożą łazarety,  
 Jeśli je stawiają w faraona gracje,  
 Liczą się zawsze : klacz za dwie kobiety.

Wróćmy do półków. — Pierwszy wjechał kary,  
 Drugi też kary lecz angliczowany,  
 Dwa było gniade, a piąty hułany,  
 Siódmy znów gniady, ósmy jak mysz szary,  
 Dziewiąty rosły, dziesiąty mierzyna,  
 A potem znowu kary bez ogona,  
 U dwónastego na czole łysina  
 A zaś ostatni wyglądał jak wrona.  
 Harmat wjechało czterdzieści i osim,  
 Jaszczków więcej niżli drugie tyle;  
 Wszystkiego dwieście, jak po wierzchu wnosim :

Ba żeby dobrze zliczyć w jedną chwilę  
 Śród mnóstwa koni i ludzi motłochu,  
 Trzeba mieć oko tve Napoleonie,  
 Lub twoje ruski intendencie prochu ; —  
 Ty niezważając na ludzi i konie,  
 Jaszczyków patrzysz, wnet liczbę ich zgadłeś,  
 Wiész ile w każdym ładunków ukradłeś.

Już plac okryły zielone mundury,  
 Jak trawy w które ubiera się łąka,  
 Gdzie niegdzie tylko wznosi się do góry  
 Jaszczyk podobny do błotnego bąka,  
 Lub polnej pluskwy z zielonawym grzbietem,  
 A przy nim działo ze swoim lawetem,  
 Usiadło nakształt czarnego pająka.

Każdy ten pająk ma nóg przednich cztery,  
 I cztery tylnych : zowią się te nogi  
 Kanoniery i bombardiery.  
 Jeżeli siedzi spokojnie śród drogi,  
 Noga się każda gdzieś daleko rucha ;  
 Myślisz że całkiem oddzielne od brzucha,

I brzuch jak balon w powietrzu ulata.  
 Lecz skoro cicha, drzemiąca harmata,  
 Nagle się zbudzi rozkazem wyzwana;  
 Jak tarantula gdy jej kto w nos dmuchnie<sup>20</sup>,  
 Wnet sciągnie nogi, podchyła kolana,  
 I nim się nadmie, nim jady wybuchnie,  
 Zrazu przednimi kanonierami,  
 Około pyska długo, szybko wije,  
 Jak mucha co się w arszeniku splami,  
 Siadłszy swój czarny pyszczek długo myje,  
 Potém dwie przednie nogi w tył wywróci,  
 Tylnemi kręci, potém kiwa zadem,  
 Nareszcie wszystkie nogi w bok rozrzuci,  
 Chwilę spoczywa, w końcu buchnie jadem.

Półki stanęły; — patrzą, — car, car jedzie,  
 Tuż kilku starych, konnych admirałów,  
 Tyłum adjutantów, i ćma Jenerałów,  
 Styfu i sprzodu, a car sam na przedzie.  
 Orszak dziwacznie pstry i centkowany,  
 Jak arlekiny: pełno na nich wstążek<sup>21</sup>,  
 Kluczyków, cyfer, portrecików, sprzążek,



Ten sino, tamten żółto przepasany,  
 Na każdym gwiazdek, kófek, i krzyżyków,  
 S przodu i s tyłu więcej niż guzików.

Świecą się wszyscy lecz nie światłem własnym,  
 Promienie na nich idą z oczu pańskich ;  
 Każdy Jenerał jest robaczkiem jasnym,  
 Co błyszczy pięknie w nocach świętojańskich ;  
 Lecz skoro przejdzie wiosna carskiej łaski,  
 Nędzne robaczki tracą swoje blaski :  
 Żyją, do cudzych krajów nieucieką,  
 Ale nikt niewie gdzie się w błocie wleką.  
 Jenerał w ogień śmiałym idzie krokiem,  
 Kula go trafi, car się doń usmiechuie,  
 Lecz gdy car strzeli niełaskawém okiem,  
 Jenerał bladnie, słabnie, często — zdechuie.

Sród dworzan prędziej znalazłbyś stoików,  
 Wspaniałe dusze — choć gniew cara czują ;  
 Ani się zarzuą, ani zachorują <sup>22</sup> ;  
 Wyjadą na wieś do swych pałacików,  
 I piszą stamtąd : ten do Szambellana ,

Ów do metresy, ów do damy dworu,  
 Liberalniejsi piszą do furmana.  
 I znowu zwolna wróćą do faworu. —  
 Tak z domu oknem zrucony pies zdycha,  
 Kot miauknie tylko, lecz stanie na nogi,  
 I znowu szuka do powrotu drogi,  
 I jakąś dziura znowu wnidzie scicha :  
 Nim stoik w służbę wróci tryumfalnie,  
 Na wsi rosprawia cicho — liberalnie,

Car był w mundurze zielonym, s kołnierzem  
 Złotym. Car nigdy niezruca mundura ;  
 Mundur wojskowy jest to carska skóra,  
 Car rosnie, żyje, i — gnije żołnierzem. —

Ledwie s kolebki dziecko wyjdzie carskie  
 Zaraz do tronu zrodzony paniczyk,  
 Ma za strój kurtki kozackie, huzarskie,  
 A za zabawkę szabelkę i — biczyk.  
 Syllabizując szabelką wywija.  
 I nią wskazuje na książce litery ;  
 Kiedy go tańczyć uczą guwernery<sup>23</sup>,

Biczykiem takty muzyki wybija.  
Dorośliży całą jest jego zabawą,  
Zbierać żołnierzy do swojej komnaty,  
Kommenderować na lewo, na prawo,  
I wprawiać półki w musztrę — i pod baty.

Tak się car każdy do tronu sposobił,  
Stąd ich Europa boi się i chwali :  
Słusznie z Krasickim starzy powiadali,  
Mądry przegadał, ale głupi pobił.  
Piotra wielkiego niechaj pamięć żyje,  
Pierwszy on odkrył tę Caropedyę.  
Piotr wskazał carom do wielkości drogę ;  
Widział on mądre Europy narody,  
I rzekł : Rossyę zeuropejczyć mogę,  
Obetnę suknie i ogolę brody,  
Rzekł — i wnet, poły bojarów, kniazików  
Ścięto, jak szpaler francuskiego sadu ;  
Rzekł — i wnet brody kupców i muzyków  
Sypią się chmurą, jak liście od gradu.  
Piotr zaprowadził bębny i bagnety,  
Postawił turmy, urządził kadety,

Kazał na dworze tańczyć menuety,  
 I do towarzystw gwałtem wwiódł kobiety;  
 I na granicach poosadzał strażę,  
 I łańcuchami pozamykał porty,  
 Utworzył senat, szpiegi, dygnitarze,  
 Odkupy wódek, czyny i paszporty : —  
 Ogolił, umył, i ustroił chłopca,  
 Dał mu broń w ręce, kieszeń narublował,  
 I zadziwiona krzyknęła Europa :  
 Car Piotr Rossyą ucywilizował.  
 Zostało tylko dla następnych carów,  
 Przylewać kłamstwa w brudne gabinety,  
 Przysyłać w pomoc despotom bagnety,  
 Wyprawić kilka rzezi i pożarów;  
 Zagrabiać cudze do koła dzierzawy,  
 Skradać poddanych, płacić cudzoziemców,  
 By zyskać oklask Francuzów i Niemców,  
 Ujść za rząd silny, mądry i łaskawy.

Niemcy, Francuzi zaczekajcie nieco!  
 Bo gdy wam w uszy zabrzmie huk ukazów,  
 Gdy knutów grady na karki wam zlecą,

Gdy was pożary waszych miast oświecą,  
 A wam natenczas zabraknie wyrazów ;  
 Gdy car rozkaże ubóstwiać i słać  
 Sybir, kibitki, ukazy i knuty —  
 Chyba będziecie cara pieśnią bawić,  
 Waryowaną na dzisiejsze uóty.

Car jak kręgielna kula między szyki  
 Wleciał, i spytał o zdrowie gawiedzi,  
 « Zdrowia ci życzym » szepcą wojownicy,  
 Ich szepty były jak mruk stu niedźwiedzi.  
 Dał rozkaz, — rozkaz wynkuął się przez zęby  
 I wpadł jak piłka w usta komendanta,  
 I potóm gnany od gęby do gęby  
 Na ostatniego upada szerczanta. —  
 Jęknęły bronie, szczęknęły pałasze  
 I wszystko było zmieszane w odnęcie :  
 Na liuiówym kto widział okręcie  
 Ogromny kocioł w którym robią kaszę,  
 Kiedy weń woda z pompy jako z rzeczki  
 Bucha, a w wodę sypie majtków rzesza  
 Za jednym razem krup ze cztery beczki,

Potém dziesiątkiem wioseł w kotle miesza —  
 Kto zna francuską izbę deputatów,  
 Większą i stokroć burzliwszą od kotła,  
 Kiedy w nią projekt komissya wmiotła.  
 I już nadchodzi godzina debatów :  
 Cała Europa czując z dawna głody,  
 Myśli że dla niej tam warzą swobody ;  
 Już liberalzim z ust jako z pomp bucha ;  
 Ktoś tam o wierze wspomniał na początku,  
 Izba się burzy, szumi i nie słuca ;  
 Ktoś wspomniał wolność, lecz niezrobił wrzątku  
 Ktoś wreszcie wspomniał o krolów zamiarach  
 O biednych ludach, o despotach, carach,  
 Izba znudzona krzyczy — « do porządku »  
 Aż tu minister skarbu, jakby z drągiem,  
 Wbiega z ogromnym budżetu wyciągiem,  
 Zaczyna mieszać mową o procentach.  
 O cłach, opłatach, stęplach, remanentach ;  
 Izba wre, huczy i kipi i pryska,  
 I szumowiny aż pod niebo ciska ;  
 Ludy się cieszą, gabinety straszą,  
 Aż się dowiedzą wszyscy na ostatku,

Że była mowa tylko — o podatku. —  
 Kto tedy widział owy kocioł z kaszą,  
 Lub ową izbę — ten łatwo zrozumie  
 Jaki gwar powstał w tyłu półków tłumie,  
 Gdy rozkaz carski wleciał w środek kupy.  
 Wtém trzystu bębnow ozwały się huki,  
 I jak lód Newy gdy prysnie na sztuki,  
 Piechota w długie porzuęła się słupy.  
 Kolumuy jedne za drugimi dążą,  
 Przed każdą bęben i komendant woła ;  
 Car stał jak słońce, a półki do koła  
 Jako planety toczą się i krążą.  
 Wtém car wypuścił stado adjutantów  
 Jak wróble z klatki, albo psy ze smyczy ;  
 Każdy z nich leci, jak szalony krzyczy,  
 Wrzask Jenerałów, Majorów, szerżantów  
 Huk tarabanów, piski muzykantów —  
 Nagle piechota jak lina kotwicy  
 Z kłębow rozwita wyciąga się sznurem ;  
 Sciany idącej pułkami konnicy  
 Łączą się, wiążą, jednym stają murem.  
 Jakie zaś dalej były tam obroty,

Jak jazda rącza, i niewyciężona  
 Leciała obses na karki piechoty,  
 Jak kundlów psiarnia trąbą poduszczona  
 Na związanego niedźwiedzia uderza,  
 Widząc że w kluby ujęto pysk zwierza;  
 Jak się piechota kupi, sciska, kurczy,  
 Nadstawia bronie jako igły jeża,  
 Który poczuje że pies nad nim burczy;  
 Jak wreszcie jazda w ostatnim poskoku  
 Targniona smyczą powściągnęła kroku.  
 I jak harmaty wprzód i w tył ciągnano,  
 Jak po francusku, po rusku łajano,  
 Jak w areszt brano, po karkach trzepano,  
 Jak tam marzniono i s koni spadano,  
 I jak carowi w końcu winszowano —  
 Czuję tę wielkość, bogactwo przedmiotu!  
 Gdybym mógł opisać, wsławiłbym me imię;  
 Lecz muza moja, jak bomba w pół lotu  
 Spada i gaśnie w prozaicznym rymie,  
 I wśród głównego manewrów obrotu,  
 Jak Homer w walce bogów — ja — ah drzymię.



Już przerobiono wojskiem wszystkie ruchy  
 O których tylko car czytał lub słyszał ;  
 Śród zgrai widzów już się gwar uciszał,  
 Już i sukmany, delie, kozuchy,  
 Co się czerniły gęsto wkoło placu,  
 Rozpełzały się każda w swoją stronę,  
 I wszystko było zmarzłe i znudzone —  
 Już zastawiano śniadanie w pałacu.

Ambassadors zagranicznych rządów,  
 Którzy pomimo i mrozu i nudy,  
 Dla łaski carskiej niechybią przeglądów,  
 I codzien krzyczą o dziwy! o cudy!  
 Już powtórzyli raz tysięczny drugi  
 Z nowym zapałem dawne komplementy,  
 Że car jest taktyk w planach niepojęty,  
 Że wielkich wodzów ma na swe usługi,  
 Że kto niewidział, nigdy niewierzy,  
 Jaki tu zapał i męstwo żołnierzy.  
 Nakoniec była rozmowa skończona,  
 Zwyczajnym śmiechem z głupstw Napoleona ;  
 I na zegarek już każdy spozierał,

Bojąc się dalszych galopów i kłusów ;  
o mróz dociskał dwódziesiąt gradusów  
Dusiła nuda i głód już doskwierał.

Lecz car stał jeszcze i dawał rozkazy ;  
Swe pułki siwe, kare i bułane  
Puszcza, wstrzymuje po dwadzieście razy ;  
Znowu piechotę przedłuża jak ścianę,  
Znowu ją ściska w czworobok zawarty,  
I znowu naksztaft wachlarza rostacza. —  
Jak stary szuler, choć już nie ma gracza  
Miesza i zbiera i znów miesza karty,  
Choć towarzystwo samego zostawi  
On się sam s sobą kartami zabawi.  
Aż sam się znudził, konia nagle zwrócił  
I w generałów ukrył się natłoku ;  
Wojsko tak stało jak je car porzucił  
I długo z miejsca nieruszyło kroku.  
Aż trąby, bębny dały znak nareszcie :  
Jazda, piechota, długich kolumn dwieście  
Płyną i toną w głębi ulic miejskich —  
Jakże zmienione, niepodobne wcale

Do owych bystrych potoków alpejskich,  
 Co rycząc mętne wałą się po skale,  
 Aż w jezior jasném spotkają się łonie,  
 I tam odpoczną, i oczyszczą wody,  
 A potem z lekka nowemi wychody,  
 Błyskają, tocząc szmaragdowe tonie. —  
 Tu półki weszły czerstwe, czyste, białe;  
 Wyszły zziąbane i oblane potem,  
 Rostopionemi śniegi poczerniałe,  
 Brudne s pod lodu wydeptaném błotem.

Wszyscy odeszli; widze i aktory.  
 Na placu pustym, samotnym, zostało  
 Dwadzieście trupów : ten ubrany biało,  
 Żołnierz od jazdy ; tamtego ubiory  
 Niezgadniesz jakie, tak do śniegu whity  
 I stratowany końskimi kopyty.  
 Ci zmarzli stojąc przed frontem jak słupy,  
 Wskazując półkom drogę i cel biegu ;  
 Ten się zmyliwszy w piechoty szeregu,  
 Dostał w łeb kolbą i padł między trupy.  
 Biorą ich z ziemi policejskie służki

I niosą chować ; martwych, rannych społem :  
 Jeden miał żebra złamane, a drugi  
 Był w pół harmatném przejechany kołem ;  
 Wnętrznosci ze krwią wypadły mu z brzucha,  
 Trzykroć okropnie s pod harmaty krzyknął :  
 Lecz major woła milcz bo car nas słuca,  
 Żołnierz tak słucać majora przywyknął,  
 Że zęby zaciał ; — nakryto co żywo  
 Rannego płaszczem, bo gdy car przypadkiem  
 Zrana jest takiej nagłej śmierci świadkiem,  
 I widzi na cazo skrwawione mięsiwo,  
 Dworzanie czują w nim zmianę humoru  
 Zły, opryskliwy powraca do dworu,  
 Tam go czekają z śniadaniem nakrytém,  
 A jeść nie może mięsa z apetytem.

Ostatni ranny wszystkich bardzo zdziwił :  
 Grożono, bito, próżna groźba, kara,  
 Generałowi nawet się sprzeciwił,  
 I jęczał głośno — kłął samego cara.  
 Ludzie niezwykłym przerażeni krzykiem  
 Zbiegli się nad tym parad męczennikiem. —

Mówią że jechał z dowodczy rozkazem,  
 Wtém koń mu stanął jak gdyby zaklęty  
 A s tyłu wleciał cały szwadron razem;  
 Złamano konia, i żołnierz zepchnięty  
 Leżał pod jazdą płynącą korytem,  
 Ale od ludzi litościwsze konie:  
 Skakał przez niego szwadron po szwadronie,  
 Jeden koń tylko trafił weń kopytem  
 I złamał ramie; — kość na wpół rospadła  
 Przedarła mundur, i ostrzem sterczała  
 Z zielonej sukni, strasznie, trupio biała,  
 I twarz żołnierza równie jak kość zbladła;  
 Lecz sił niestracił: wznosił drugą rękę  
 To ku niebiosom, to widzów gromady  
 Zdawał się wzywać i mimo swą mękę  
 Dawał im głośno, długo, jakieś rady.  
 Jakie? nikt nie wie, nie mówią przed nikim.  
 Bojąc się szpiegów słuchacze uciekli  
 I tyle tylko pytającym rzekli,  
 Że ranny mówił złym ruskim językiem;  
 Kiedy niekiedy słychać było w gwarze,  
 Car, cara, caru, — coś mówił o carze.

Chodziły wieści że żołnierz zdeptany,  
 Był młodym chłopcem, rekrutem, Litwinem,  
 Wielkiego rodu, Xięcia, grafa synem ;  
 Że ze szkół gwałtem w rekruty oddany,  
 I że dowodzca, nie lubiąc polaka,  
 Dał mu umyślnie dzikiego rumaka,  
 Mówiąc : niech skręci szyję lach, sobaku.

Kto był, nie wiedzą, i potémz darzeniu  
 Nikt nie posłyszał o jego imieniu,  
 Ach! kiedyś tego imienia o carze  
 Będą szukali po twojém sumnieiu.  
 Djabeł je posród tysięcy ukaze,  
 Któres ty w minach podziemnych osadził,  
 Wrzucił pod konie, myśląc żeś je zgładził.

Nazajutrz, zdala za placem słyszano  
 Psą głuche wycie — czerni się coś w śniegu ;  
 Przybiegli ludzie, trupa wygrzebano ;  
 On po paradyzie został na noclegu.  
 Trup napół chłopski, na poły wojskowy,  
 Z głową strzyżoną, ale z brodą długą,

Miał czapkę s futrem i płaszcz mundurowy,  
 I był zapewne oficerskim sługą.  
 Siedział na wielkim futrze swego pana,  
 Tu zostawiony, tu rozkazu czekał,  
 I zmarzł i śniegu już miał za kolana.  
 Tu go pies wierny znalazł i oszczeakał, —  
 Zmarznął, a w futro nieokrył się ciepłe;  
 Jedna źrenica śniegiem zasypana,  
 Lecz drugie oko otwarte choć skrzepłe  
 Na plac obrócił, czekał stamtąd pana!  
 Pan kazał siedzieć i sługa usiądzie,  
 Kazał nieruszać z miejsca, on nieruszy,  
 I niepowstać aż na strasznym sądzie;  
 I dotąd wierny panu, choć bez duszy,  
 Bo dotąd ręką trzyma pańską szubę  
 Pilnując żeby jej nieukradziono;  
 Drugą chciał rękę ogrzać, ukryć w łono,  
 Lecz już nieweszły pod płaszcz palce grube.  
 I pan go dotąd nieszukał, niepytał!  
 Czy mało dbały, czy nadto ostróżny —  
 Zgadują że to officer podróżny;  
 Że do stolicy niedawno zawitał,

Nie s powinności chodził na parady,  
 Lecz by pokazać świeże epoety;  
 Może s przeglądów poszedł na obiady,  
 Może na niego mrugnęły kobiety,  
 Może gdzie wstąpił do kolegi gracza,  
 I nad kartami — zapomniał brodacza :  
 Może się wyrzekł i futra i sługi  
 By nierozgłosić że miał szubę s sobą ;  
 Że niemógł zimna wytrzymać jak drugi ,  
 Gdy je car cesarką wytrzymał osobą ;  
 Boby mówiono ; jeździ nieformalnie  
 Na przegląd s szubą! — myśli liberalnie.

O biedny chłopie ! heroizm , śmierć taka,  
 Jest psu zasługą, człowiekowi grzechem.  
 Jak cię nagrodzą ? pan powie z uśmiechem  
 Żeś był do zgonu wierny — jak sobaka.  
 O biedny chłopie ! za cóż mi fza pfynie,  
 I serce bije myśląc o twym czynie :  
 Ach żal mi ciebie biedny słowianinie ! —  
 Biedny narodzie ! żal mi twojej doli ,  
 Jeden znasz tylko heroizm — niewoli.



DZIEŃ PRZED POWODZIĄ PETERZBURSKĄ 1824.

## OLESKIEWICZ. 24

Gdy się najtęższym mrozem niebo żarzy  
 Nagle ssiniało, plamami czernieje,  
 Podobne zmarzłej nieboszczyka twarzy,  
 Która się w izbie przed piccem rozgrzeje,  
 Ale nabrawszy ciepła a nie życia,  
 Zamiast oddechu, zionie parą gnicia.  
 Wiatr zawiął ciepły. — Owe słupy dymów,  
 Ów gmach powietrzny jak miasto olbrzymów,  
 Niknąc pod niebem jak czarów widziadło,  
 Runęło w gruzy i na ziemię spadło :  
 I dym rzekami po ulicach płynął,  
 Zmieszany s parą ciepłą i wilgotną ;  
 Śnieg zaczął topnieć i nim wieczor minął,  
 Oblewał bruki rzeką Stygu błotną.  
 Sanki uciekły, koce i landary  
 Zerwano z pfozów ; grzmią po bruku koła ;  
 Lecz pośród mroku i dymu i pary,

Oko pojazdów rozróżnić nie zdoła ;  
 Widać je tylko po latarek błyskach,  
 Jako płomyki błędne na bagniskach.

Szli owi młodzi podróżni nad brzegiem  
 Ogromnej Newy ; lubią iść o zmroku,  
 Bo czynowników unikną widoku,  
 I w pustém miejscu nie zejną się s szpiegiem.  
 Szli obcym s sobą gadając językiem,  
 Czasem pieśń jakąś obcą, s cicha nocą,  
 Czasami staną i oczy obróćą,  
 Czy kto nie słucha ? — nie zeszli się z nikim.  
 Nocąc błędzili nad Newy korytem,  
 Które się ciągnie jak alpejska ściana,  
 Aż się wstrzymali, gdzie między granitem,  
 Ku rzece droga spada wyrąbana.  
 Stamtąd, na dole, ujrzeli z daleka  
 Nad brzegiem wody z latarką człowieka :  
 Nie szpieg, bo tylko śledził czegoś w wodzie,  
 Ani przewoźnik, któż pływa po lodzie ?  
 Nie jest rybakiem, bo nic nie miał w ręku  
 Oprócz latarki i papierów pęku.

Podeszli bliżej, on niezwrócił oka,  
 Wyciągał powróż, który w wodę zwisał,  
 Wyciągnął, węzły zliczył i zapisał;  
 Zdawał się mierzyć jak woda głęboka.  
 Odblask latarki odbity od lodu,  
 Oblewa jego xięgi tajemnicze,  
 I pochylone nad świecą oblicze  
 Żółte jak obłok nad słońcem zachodu;  
 Oblicze piękne, szlachetne, surowe.  
 Okiem tak pilnie w swojej xiędze czytał,  
 Że słysząc obcych kroki i rozmowę  
 Tuż po nad sobą, kto są nie zapytał,  
 I tylko z ręki lekkiego skinienia  
 Widać, że prosi, wymaga milczenia.  
 Cóż tak dziwnego było w ręki ruchu,  
 Że choć podróżni tuż nad nim stanęli  
 Patrząc i szepcąc i śmiejąc się w duchu,  
 Umilkli wszyscy, przerwać mu nie śmieli.  
 Jeden w twarz spójrzył i poznał i krzyknął :  
 To on ! — i któż on ? — Polak, jest malarzem,  
 Lecz go właściwiej nazywać guślarzem,  
 Bo dawno od farb i pędzla odwyknął,

Biblią tylko i kabałę bada,  
 I mówią nawet, że z duchami gada.  
 Malarz tym czasem wstał, pisma swe złożył,  
 I rzekł jak gdyby rozmawiając s sobą :  
 Kto jutra dożył, wielkich cudów dożył,  
 Będzie to drugą, nie ostatnią próbą ;  
 Pan wstrząśnie szczeble assurskiego tronu ,  
 Pan wstrząśnie grunty miasta Babilonu ,  
 Lecz trzecią widzieć, Panie ! niedaj czasu !  
 Rzekł i podróżnych zostawił u wody  
 A sam z latarką zwolna szedł przez schody,  
 I zniknął wkrótce za parkan terasu.  
 Nikt nie zrozumiał co ta mowa znaczy ;  
 Jedni zdumieni, drudzy rozśmieszeni,  
 Wszyscy krzykuęli : nasz guślarz dziwaczy,  
 I chwilę jeszcze stojąc pośród cieni,  
 Widząc noc późną, chłodną i burzliwą ,  
 Każdy do domu powracał co żywo.  
 Jeden niewrócił, lecz na schody skoczył,  
 I biegł terasem ; niewidział człowieka,  
 Tylko latarkę jego zdala zoczył,  
 Jak błędna gwiazda świeciła zdaleka.

Chociaż w malarza niezajrzał oblicze,  
 Choć niedosłyszał co o nim mówili,  
 Ale dźwięk głosu, słowa tajemnicze  
 Tak nim wstrząsnęły! — przypomniał po chwili  
 Że głos ten słyszał, i biegł co miał mocy  
 Nieznaną drogą, wśród słońcy, wśród nocy.  
 Latarka prędko niesiona mignęła,  
 Coraz mniejszała, zakryta mgłą mrokiem  
 Zdała się gasnąć; w tém nagle stanęła  
 W pośrodku pustek na placu szerokim.  
 Podróżny kroki podwoił, dobiega;  
 Na placu leżał wielki stos kamieni  
 Na jednym głazie malarza spostrzega:  
 Stał nieruchomy pośród nocnych cieni.  
 Głowa odkryta, odsłonięta barki,  
 A prawa ręka wzniesiona do góry,  
 I widać było s kierunku latarki  
 Że patrzył w dworca cesarskiego mury.  
 I w murach jedno okno w samym rogu  
 Błyszczało światłem; to światło on badał,  
 Szeptał ku niebu jak modląc się bogu,

Potém głos podniósł i sam s sobą gadał.  
 « Ty nie śpisz carze! noc już wkoło głucho,  
 Śpią już dworzanie — a ty nie śpisz carze;  
 Jeszcze Bóg łaskaw posłał na cię ducha,  
 On cię w przeczuciach ostrzega o carze.  
 Lecz car chce zasnąć, gwałtem oczy zmruża,  
 Zaśnie głęboko — dawniej ileż razy  
 Był ostrzegany od anioła stróża,  
 Mocniej, dobitniej, sennemi obrazami.  
 — On tak zły niebył, dawniej był człowiekiem;  
 Powoli wreszcie, szedł aż na tyrana,  
 Anioły pańskie uszły, a on z wiekiem  
 Coraz to głębiej wpadał w moc szatana.  
 Ostatnią radę, to przeczucie ciche  
 Wybije z głowy jak marzenie liche;  
 Nazajutrz w dumę wzbiją go pochlebce  
 Wyżej i wyżej, aż go szatan zdepcze...  
 — Ci w niskich domkach nikczemni poddani,  
 Naprzód za niego będą ukarani;  
 Bo piorun w martwe gdy bije żywoły  
 Zaczyna z wierzchu, od góry i wieży,

Lecz między ludźmi, naprzód bije w doły,  
 I najmniej winnych najpierw uderzy...  
 — Usnęli w pijaństwie, w swarach lub w roskoszy  
 Zbudzą się jutro — biedne czaszki trupie!  
 Spijcie spokojnie jak zwierzęta głupie,  
 Nim was gniew pański jak myśliwiec spłoszy,  
 Tępiący wszystko co w kniei spotyka,  
 Aż dójdzie w końcu do legowisk dzika.

Słyszę! — tam! — wichry — już wytknęły głowy  
 S polarnych lodów, jak morskie strasydła;  
 Już sobie s chmury porobili skrzydła,  
 Wsiedli na falę, zdjęli jej okowy;  
 Słyszę! — już morska otchłań roschełznana  
 Wierzga i gryzie lodowe wędzidła,  
 Już mokrą szyję pod obłoki wzdyma;  
 Już! — jeszcze jeden, jeden łańcuch trzyma —  
 Wkrótce roskują; — słyszę młotów kucie... •

Rzekł i postrzegłszy że ktoś słucha z boku,  
 Zadmuchnął świecę i przepadł w pomroku.

**Błysnął i zniknął jak nieszczęść przecucie,  
Które uderzy w serce, niespodziane  
I przejdzie straszne — lecz niezrozumiane.**

**KONIEC.**





# *Obyasnienua.*



## Objaśnienia.



Wyrazy *czyn*, *czynownik*, często są tu użyte w znaczeniu rossyjskiem, dla litwinów tylko zrozumiałe. W Rosyi ażeby niebyć chłopem albo kupcem, słowem aby mieć przywilej uwalniający od kary knuta, trzeba wejść w służbę rządową i pozyskać tak nazwaną *klassę* albo *czyn*. Służba dzieli się na czternaście *klass*; potrzeba kilka lat służby dla przejścia z jejdnej *klassy* w drugą. Są przepisane czynownikom różne *examina*, podobne do formalności zachowujących się w hierarchii mandaryńskiej w Chinach, zkaąd, zdaje się że ten wyraz mogołowie do Rosyi przenieśli, a Piotr pierwszy znaczenie tego wyrazu odgadnął i całą instytucją w duchu prawdziwie chińskim rozwinął. Czynownik często nie

jest urzędnikiem, czeka tylko urzędu i starać się oń ma prawo. Każda klasa albo *czyn* odpowiada pewnej randze wojskowej: i tak doktor filozofii albo medycyny liczy się w klasie osmej i ma stopień majora, czyli *assesora kolleskiego*; stopień kapitański ma frejlina, czyli panna dworu cesarskiego; biskup lub archirej jest generałem. Między czynownikami wyższymi i niższymi, stosunki uległości i posłuszeństwa przestrzegają się z równą prawie ścisłością jak w wojsku.

• Myśląc że już zajeżdża feldjeger ze dzwonkiem.

Feldjegry czyli strzelcy polni cesarscy są rodzajem żandarmów; polują szczególnie na osoby rządowi podejrzane, jeżdżą po polsku w *kibitkach*, to jest wozkach drewnianych bez resorów i żelaza, wąskich, płaskich i sprzodu wyższych niż styłu. Byron wspomina o tych wozach w swoim Don Juanie. Feldjeger przybywa po polsku w nocy, porywa podejrzaną osobę, niemówiąc nigdy gdzie ją powiezie. Kibitka opatrzona jest dzwonkiem pocztowym. Kto nie był w Litwie s trudnością wy-

stawi sobie przestrach, jaki panuje w każdym domu, u którego wrót odezwie się dzwonek pocztowy.

<sup>2</sup> Pytał raz Litwin nie wiem djabła czy Pińczuka.

Nazywa lud w Litwie pińczukami obywateli błotnistych okolic Pińska.

<sup>3</sup> Tylko łyknie powietrza i wnet się podchmieli.

Więźniowie którzy długo byli w zamknięciu, wychodząc na świeże powietrze doświadczają pewnego rodzaju upojenia.

<sup>4</sup> W Litwie zły to znak płakać we dniu inkrutowin.

Nazywają inkrutowinami uroczystość, którą gospodarz obchodzi wnosząc się do nowego mieszkania.

<sup>5</sup> Stoi spisany jasno jako ukaz senacki.

Przysłowiem stała się w Rosyi ciemność ukazów

senackich. Szczególnie ukazy sądowe, czyli wyroki, umyślnie tak bywają układane, aby je różnie tłumaczyć i stąd nową sprawę toczyć można było. Jest to interesem kancelaryi senackich ciągnących niezmierne zyski z processów.

<sup>6</sup> Nam każą iść na bal.

Zaproszenie urzędowe na bal jest w Rosyji rozkazem; szczególnie, jeśli bal daje się z okoliczności urodzin, imienin, zaślubin i. t. d. Cesarza lub osób familii panującej albo też jakiego wielkiego urzędnika. W takich razach osoba podejrzana lub źle widziana od rządu, nie idąc na bal naraża się na niemałe niebezpieczeństwo. Były przykłady w Rosyji że rodzina osób uwięzionych i wskazanych na szubienicę, znajdowała się na balach u dworu. W Litwie Dybicz ciągnąc przeciwko polakom a Chrapowicki więząc i tępiąc powstańców, zapraszali publiczność polską na bale i uroczystości zwycięskie. Takowe bale opisują się potem w gazetach jako dobrowolne wynurzenia się nieograniczonej miłości poddanych, ku najlepszemu i najłaskawszemu z monarchów.

7 Koleski registrator do sowietnika.

Koleski registrator, jest to jeden z najniższych czynów. Sowietników czyli radzców różne są rodzaje i gatunki, jako to : radzcy honorowi, kolescy, tajni, rzeczywisci. — Pewny dowcipny rossyanin mawiał iż Rzeczywisty Tajny Radzca, jest trojakiém kłamstwem; bo nie radzi, niewie o żadnej tajemnicy i często jest najniedorzeczniejszém stworzeniem. Mówiono raz o jakimś czynowniku i nazywano go dobrym człowiekiem; « nazwij raczej dobrym chłopcem » odezwał się ów żartownis : « jak czynownik może bydz człowiekiem? póki jest tylko registrator-em; w Rossyi ażeby bydz człowiekiem, trzeba być przynajmniej radzcą stanu. »

\* Może samego wiozą Jermołowa,

W Rossyi między ludem jest przekonanie iż car może każdego innego króla wziąć w kubitkę. I w istocie niewiemy coby odpowiedziano w niektórych państwach feldjegrowi, któryby przyjechał w po-

dobnym celu. To pewna, iż Nowosilców często powtarzał: « niebędzie pokoju, póki niezaprowadzimy w Europie takiego porządku, iżby nasz feldjeger mógł też same rozkazy w Wilnie, w Paryżu i w Stambule, z tążsamą łatwością wykonywać. » Odebranie rządów Gruzji Jenerałowi Jermołłow, którego imie u Rossyan było bardzo popularne, uważano za rzecz ważniejszą niż zwycięstwo nad jakim królikiem europejskim. Temu mniemaniu rossyan dziwić się nie należy. Przypomnijmy iż Jego królewiczowska Mość książę Wirtemberski oblegając z wojskami sprzymierzonymi Gdańsk, pisał do Jenerała Rapp iż jenerał rossyjski równy jest co do stopnia królowi, i mógłby nosić ten tytuł jeżeliby taka była wola cesarska — ob. pamiętniki jenerała Rapp.

9 Musiano uiegdys wylać rzekę złota.

Te słowa wyrzekł król Gottów ujrzawszy po raz pierwszy Kolizeum w Rzymie.

10 Z zegarów miejskich zagrzmiała dwónasta,  
A słońce już się na zachod chyliło.

W dniach zimowych w Peterzburgu, około godziny trzeciej już mrok pada.



<sup>11</sup> I wiecznie stoi i wiecznie ucieka.

Dymy miast północnych w czasie mroznym wznoszące się pod niebo w kształtach fantastycznych, tworzą widowisko podobne do fenomenu zwanego *mirage*, który zwodzi żeglarzy na morzach i podróżnych na piaskach Arabii. *Mirage* zdaje się być już miastem, już wsią, już jeziorem albo oazą; przedmioty wszystkie widać bardzo wyraźnie, ale zbliżyć się do nich niepodobna, zawsze w równej od podróznego znajdują się odległości i nakoniec nikną.

<sup>12</sup> Wydarté świeżo morzu i Czuchoncom.

Finnowie po rosyjsku zwani Czuchoncami albo Czuchnami mieszkali na brzegach błotnistych Newy, gdzie potem założono Peterzburg.

<sup>13</sup> Z dalekich lądów i z morskich odmętów.

U wielu historyków znaleźć można opisanie założenia i budowania Peterzburga. Wiadomo iż

mieszkańców do tej stolicy gwałtem spędzano, i że ich więcej niż sto tysięcy [w czasie budowania wymarło. Granit i marmur zwożono morzem ze stron dalekich.

14 Wszyscy się zeszli w jedno zgromadzenie.

Wyznania które się odłączyły od kościoła katolickiego, są protegowane szczególnie w Rosyi; naprzód stąd, iż zwolennicy tych wyznań z łutwością przechodzą na wiarę grecką za przykładem niemieckich xiężniczek i xiążąt; potem, że pastrowie są najlepszą podporą despotyzmu, wmawiając ludowi ślepe posłuszeństwo dla władzy świeckiej, nawet w rzeczach sumnienia, w których katolicy odwołują się do decyzji kościoła. Wiadomo iż wyznania auszburskie i genewskie na rozkaz króla pruskiego połączyły się w jeden kościół.

15 Myślisz że chodzą po mieście kominy.

Para z ust wychodząca w czasie tęgich mrozów, daje się widzieć w kształcie słupa długiego często króć na kilka łokci.

<sup>16</sup> Druga carowa pamiętnik stawiała.

Na pomniku Piotra jest napis : Petro primo Catharina secunda.

<sup>17</sup> I w mieście pada na wznak przed carową.

Ten wierz jest tłumuczony z rosyjskiego poety, którego nazwiska niepomnę.

<sup>18</sup> Zgadniesz że dojdzie do nieśmiertelności.

Pomnik konny kolosalny Piotra , roboty Falkoneta, i posąg Marka Aureliusza stojący teraz w Rzymie w Kapitoliu są tu wiernie opisane.

<sup>19</sup> Zakupisz u nich dobrych trzech żołnierzy.

Konie jazdy rosyjskiej piękne są i drogo kosztują. Koń żołnierski gwardyjski płaci się często kilka tysięcy franków. Człowieka rosłego, miary przepisanej, można kupić za tysiąc franków. Kobiety w

czasie głodu na Białorusi sprzedawano w Petersburgu za dwieście franków. Ze wstydem wyznać należy iż Panowie niektórzy polscy z Białorusi tego towaru dostarczali.

<sup>20</sup> Jak tarantula, gdy jej kto w nos dmuchnie.

Tarantule, radzaj wielkich, jadowitych pajaków, gnieźdzących się na stepach południowej Rosseyi i Polski.

<sup>21</sup> Jak arlekiny pełno na nich wstąiek.

Orderów rosyjskich, licząc w to różne ich klasy, tudzież cyfry cesarskie i tak nazwane sprzążki z liczbą lat służby jest około sześćdziesięciu. Zdarza się że na jednym mundurze świeci dwadzieście znaków honorowych.

<sup>22</sup> Ani się zarząd, ani zachorują.

Przed niewielu laty jeden z dworskich urzędników zarząd się dla tego, iż na jakimś obchodzie dwor-

skim naznaczono mu niższe miejsce niż podług hierarchii należało. Był to Watel czynownictwa.

<sup>23</sup> Kiedy go uczą tańczyć guwernery.

Portret carewicza następcy tronu, można widzieć w galeryi obrazów peterzburskiej Ermitażu. Malarz anglik Dow wystawił go w postaci dziecka w mundurze husarskim z biczem w ręku.

<sup>24</sup> Oleszkiewicz, malarz znany w Petersburgu ze swoich cnot, głębokiej nauki, i mistycznych przepowiedni. Obacz nekrolog jego w gazetach peterzburskich z roku 1830.



**TEN USTĘP**  
**PRZYJACIOŁOM**  
**MOSKALOM.**

**Poświęca**

**Autor.**

DO PRZYJACIOŁ MOSKALI.

Wy czy mnie wspominać! ja ilekroć marzę  
 O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach,  
 I o was myślę: wasze cudzoziemskie twarze  
 Mają obywatelstwa prawo w mych marzeniach.

Gdzież wy teraz? Ślachetna szyja Rylejewa  
 Którą jak bratnią ścisnął; carskimi wyroki  
 Wisi do hańbiącego przywiązana drzewa,  
 Klątwa ludom co swoje mordują proroki.

Ta ręka którą do mnie Bestuzew wyciągnął,  
 Wieszczy i żołnierz; ta ręka od pióra i broni,  
 Oderwana, i car ją do taczki zaprzęgnął;  
 Dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni.

Innych może dotknęła sroższa niebios kara;  
 Może kto z was, urzędem, orderem zhańbiony,

Duszę wolną na wieki sprzedał w łaskę cara,  
I dziś na progach jego wybija pokłony.

Może płatnym językiem tryumf jego sławi,  
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczęstwa,  
Może w ojczyźnie mojej moją krwią się krwawi,  
I przed carem jak z zasług, chlubi się s przekłętwa.

Jeśli do was, zdaleka, od wolnych narodów  
Aż na północ zalecą te pieśni załosne,  
I odezwą się z góry nad krainą lodów,  
Niech wam zwiastują wolność, jak żorawie wiosnę.

Poznacie mię po głosie ; pókim był w okuciach,  
Pełzając milczkiem jak wąż łudziłem despotę,  
Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach,  
I dla was miałem zawsze gołębia prostotę.

Teraz na świat wylewam ten kielich trucizny,  
Żrąca jest i paląca mojej gorycz mowy,  
Gorycz wyssana ze krwi i z łez mej ojczyzny,  
Niech zrze i pali, nie was, lecz wasze okowy.



Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga  
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży  
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,  
Że w końcu gotów kasać, rękę co ją targa.

KONIEC.



## OMYŁKI ZNACZNIJSZE.

*Strona 13, wiersz 4, letewskiej, popraw: litewskiej.*

*Str. 70, w. 2, nie bronią broń odbije, p.: nie bronią, broń broń odbije.*

*Str. 108, w. 9, scena VII, p.: scena V.*

*Str. 112, w. 16, podmożne, p.: podnożem.*

*Str. 124, w. 11, salon wabszawski, p.: warszawski.*

*Str. 165, w. 8, Jeżeli p.: Jeśli.*

— *w. 10 Jeżeli p.: Jeżeli.*

---

---

# SPIS RZECZY.

---

	STRONA.
Przemowa.....	9
Prolog.....	15
Akt pierwszy.....	26
Ustęp.....	213
Do przyjaciół moskali.....	283

---

W PARYŻU, W DRUKARNI A. PINARD,  
PRZY WYBRZEŻU VOLTAIRE, N° 15.

**MUZEUM  
MICKIEWICZA  
WARSZAWA**



## SPOJRZENIE KU «DZIADÓW CZĘŚCI III»

### 1

Próbę rozeznania się w znaczeniu dzieła, przypomnianego oto w ubogiej swej szacie pierwszego wydania, zacząć trzeba od uprzytomnienia sobie chwili jego realizacji. Pozwoli to bowiem — przy uwzględnieniu związanych z nią warunków historycznych i politycznych — oznaczyć strukturę dzieła, jego podstawową myśl wytyczną, wreszcie wynikającą stąd funkcję jego w życiu narodu.

Pomysł utworu pt. *Dziadów część III* za-  
błysnął przed wyobraźnią twórczą poety w nie-  
dzieleń dnia 25 marca 1832 r. w katedrze drez-  
deńskiej podczas uroczystej sumy, uświetnionej  
muzyką Mozarta. Tegoż czy następnego dnia  
przystąpił poeta do pisania sceny więziennej.  
Pisał żwawo. Pierwszą, szczuplejszą wersję dra-  
matu ukończył wnet, bo już d. 6 kwietnia, ale nie-  
bawem wrócił do niego, by go „rozdłużyć i roz-  
dalić”, wzbogacić o nowe ustępy czy całe sceny.  
Praca nie trwała długo. W kształcie prawie de-

## II

finitywnym przepisał poeta całość na czysto do d. 29 kwietnia. Utwór w swej części dramatycznej przybrał więc kształt ostateczny w ciągu niespełna miesiąca. Zamykający go epicki Ustęp jest zapewne owocem kilku dni majowych.

Do druku dostał się dramat w Paryżu wczesną jesienią tegoż roku, pod koniec października opuścił oficynę A. Pinarda jako kolejny, czwarty tom *Poezji*. W ciągu listopada, mimo czujnych zapór granicznych straży celnych, był w rękach czytelników po tej i tamtej stronie kordonu państw zaborczych.

Fakt ukazania się tomu poświadczono rychło tu i tam, na emigracji i pod zaborami. Co prawda, uczyniono to w tonacjach wręcz przeciwnych, ale obu najwyższych: od ekstazy zachwytu — po furję potępienia.

Na emigracji przyjęto utwór jak dobrą nowinę, jak olśniewające objawienie; czytano go niemal na klęczkach, od razu uznano za dzieło „wyższe nad wszystkie pochwały”. Kojarzył się on czytelnikom ze szczytowymi osiągnięciami literatury światowej: z hebrajskimi *Księgami Proroków* (Kl. Hoffmanowa), z *Boską komedią* Dantego (Zaleski, Niemcewicz), z Szekspirem i Byronem (Hoffmanowa). Zgodnie uznano go za „olbrzymie, oryginalne i narodowe poema”. Tom (drukowany w 2000 egzemplarzy) rozchwytno w ciągu paru miesięcy.

Tym entuzjazmom polskim (niebawem też cudzoziemskim: George Sand) odpowiedział ze strony zaborców okrzyk gniewu, zgrozy, rozpętana pasja niszczycielska. W Krakowie, stacji przechodniej, zorganizowano pościg policyjny za egzemplarzami, przetrząsano składy księgarskie, rozpowszechniającym tomik grożono wysokimi karami grzywnien i więzienia. Dzieło poety za-deptywano jak żagiew podpalacza. Rząd carski potraktował je jako czyn występny, zamach na samą istotę obowiązującego ustroju, jako akt zdrady stanu. Utworowi po wieczne czasy zabroniono wstępu w granice imperium; zakaz jego publikacji szczeł dopiero, gdy runęły mury cytadeli carskiego despotyzmu.

Jeżeli więc chodzi o wczesną recepcję *Dziadów części III*, mamy — jak widać — do czynienia z osobliwego rodzaju antynomią. Co dla jednych niosło zapowiedź wyzwolin i zbawienia, drudzy przyjęli jako rzuconą im wbrew zuchwałą pogroźkę ruiny i zatury. Ta rozbieżność orzeczeń sędziowskich ma oczywiście uzasadnienie w podstawowej przeciwstawności trybunałów, które je wydały, a mianowicie już w wyjściowych ich stanowiskach. Nie może ona dziwić. Gra była między ofiarą a zburcą. Bliższe uprzytomnienie sobie tej antynomii pozwoli zrozumieć i oszacować wagę i znaczenie dzieła jako faktu historycznego.

Zanim spytamy o wymiary tej fundamentalnej antynomii, wypadnie rozeznąć się w zachodzących tutaj, na pierwsze spojrzenie immanentnych niespójnościach, które — acz niby pomniejsze — muszą przecież uderzyć i zastanowić, może nawet zbałamucić, a zjawiają się bynajmniej nieprzypadkowo. Pierwsza jest natury chronologicznej.

*Dziadów część III* powstała niespełna w pół roku po upadku powstania, prawie na dymiącym jeszcze pogorzeliisku klęski, można by powiedzieć: na niezapadłym jeszcze grobie Polski, całej Polski. Sam autor miał je za kontynuację walki, gdy orężna została przegrana. Dzieło tak zrodzone powinno by tętnić aktualnością.

Tymczasem musi uderzyć, że akcja poematu nie zahacza niczym o przebieg powstania; dotyczy wydarzeń o kilka lat wcześniejszych, a rozegranych w wymiarze ileż węższym. Proces i pogrom młodzieży szkolnej i akademickiej mógłby się komu wydać wydarzeniem epizodycznym, wobec wymogów chwili — niewczesnym.

Z tym kłopotem uporać się będzie łatwo. Dość zwrócić uwagę, że proces filarecki takim wydarzeniem pomiernym nie wydał się wówczas nikomu; nikt nie miał go za wypadek obo-



jętny w preliminariach powstańczych. Wszyscy oceniali należycie jego wagę i przyznawali mu rolę graniczną, przełomową. Dowód dostateczny dość przytoczyć jeden.

Owocześni dziejopisarze powstania — mniej-  
sza o Spaziera, ale już Mochnacki, a po nim na-  
stępni — odtwarzając wydarzenia lat 1830 i 1831,  
kładą szczególny nacisk na ich antecedencje: na  
akty terroru zastosowanego przy likwidacji spi-  
sków wileńskich i warszawskich z lat 1824 i na-  
stępnych. Włączają je jako ogniwo integralne  
w łańcuch akcji głównej. Rozumiano trafnie ich  
charakter przełomowy.

Istotnie w osiem lat po kongresie wiedeń-  
skim, który ukazał cara Aleksandra w aureoli  
anioła pokoju, wnet po zjeździe monarchów  
w Lublanie okazało się, że stosowniej mu będzie  
w roli innej, w roli żandarma Europy, strażnika  
więzienia kontynentalnego, mającego stłumić  
wszelkie rewolucyjne porywy wolnościowe. Wy-  
padki wileńskie właśnie stały się pokazem, una-  
oczniającym, jak się to tłumienie będzie odby-  
wać: więzienie śledcze, chłosty, kazamaty, kar-  
ny przydział do formacji frontowych, zesłania.  
W samej Rosji wzniesiono wnet dla dekabry-  
stów szubienice. Proces wileński wstrząsnął jak  
alarm przed wzbierającą powodzią represji.

Tak go też zaraz oceniono. Mochnacki  
w szczególności w swym dziele *Powstanie naro-*

## VI

*du polskiego w 1830 i 1831 r.* procesowi temu poświęcił sporą część rozdziału wstępnego. Między wypadkami październikowymi w Wilnie a listopadowymi w Warszawie, mimo siedmioletniego ich oddalenia, widział on organiczny ciąg wydarzeń.

Podobnież w założeniu swego utworu ujął sprawę Mickiewicz; najwyraźniej więc nie poczynał sobie samowolnie, nie występował z urzeczzeniami, w widzeniu nie był odosobniony. I tak to też w Polsce rozumiano.

### 3

Na podobną, a jeszcze wyraźniejszą niby-niespójność natrafiamy zważając w poemacie Mickiewicza sprawę terenu akcji. Na czele utworu postawił poeta napis: „*Dziady, część III. Litwa*”. Podtytuł wskazuje tu, że sprawa rozgrywać się będzie na Litwie. Odnosi się on zaś nie do części, ale do zaplanowanej całości dramatu: postawił go poeta nie przed aktem I, ale przed Prologiem. Wnosić zatem wolno, że akcja aktów dalszych wiązać się miała także z Litwą, a raczej z losami osaczonej przez wroga wileńskiej młodzieży uniwersyteckiej. Potwierdzają to szczerze napomknienia w owoczesnej korespondencji poety o dalszych aktach części III, jak

np. to, które się wplotło w list do Niemcewicza, uzasadniający prośbę o szczegóły jego więzienia w petersburskich kazamatach fortecznych. Chwytną intencję poety zamierzającego określić teren akcji w sensie także geograficznym.

I tutaj zatem uderzać musi brak konkordancji nie tylko co do czasu, ale i co do miejsca. Jak na dramat o konflikcie polsko-rosyjskim, wprowadzający w perypetie walk wyzwoleńczych, *Dziadów część III* miała ognisko akcji osadzone peryferyjnie. Terenem właściwej walki było przecież Królestwo Kongresowe, jej związkiem knowania spiskowe Wolnomularstwa Narodowego, a ośrodkiem Warszawa. Sporadyczne ogniska akcji zbrojnej na Litwie niewiele w rezultacie zaważyły.

Tymczasem w *Dziadów części III* konfiguracja terenowa wygląda odmiennie. Stosunkom warszawskim poświęcono tylko scenę siódmą, o 250 wierszach, niecałe więc 10% utworu. O równowadze w kompozycji mówić nie sposób. Nawet w szczegółach. Spiskowi młodzieży wileńskiej przewodził T. Zan, w scenie więziennej uwydatniono to wyraźnie. Tymczasem w sc. VII jest wprowadzie mowa o Machnickim, o oficerach spisku: Wysockim, Nabelaku, Gurowskim, Niemojowskim, ale nazwisko Łukasińskiego nawet się nie przewija. Epizod wileński zatem, choćby istotny, ale bądź co bądź epizod, w *Dzia-*

## VIII

*dach* osadzony został w centrum dramatu, jako oś główna wydarzeń.

Coś podobnego przeprowadzi Mickiewicz później w *Panu Tadeuszu*. I tam — z głębokich racji — główne ognisko akcji płonąć będzie na ustroniu, w jednym nadgranicznym powiecie ziem dawnego W. Księstwa Litewskiego. Rzecz jednak szczególna: Tę ustronność, tę powiatow-szczynę poematu poczytali Mickiewiczowi niektórzy krytycy za niewłaściwość, za uchybienie. O *Dziadów części III* natomiast nikt z podobnego powodu nie powiedział złego słowa. Wszyscy to zawężenie terytorialne akcji przyjęli jako chwyt zupełnie naturalny.

Wypadek da się zrozumieć i uzasadnić na gruncie owoczesnych przeświadczeń. Ważył tam — by tak rzec — ciężar gatunkowy terenu. Żywioł polski na ziemiach dawnego W. Księstwa, składający się w ogromnej masie ze szlachty zaściankowej, inaczej mówiąc: z herbowych chłopów-rolników, szacowany był naówczas w potrzebie narodowej jako główna siła uderzeniowa. Ta pracowita i bitna rzesza, z ugruntowaną głęboko świadomością narodową, miała dla swej zawziętej orientacji antycarskiej, przeciw rządowej, racje szczególnie silne, i to zarówno ideowe, jak i materialne.

Już Katarzyna wszczęła przeciw niej konsekwentną akcję odszlachciana i wynarodowia-

nia. Zarządzając weryfikację dyplomów szlacheckich, które uprawniały do niejakich przywilejów (do ulg podatkowych, wolności od przymusowej rekrutacji, do ochrony przed karą chłosty), zmierzała do stanowego i etnicznego przemieszczenia tej ludności. Dyrektywę carcycy przejęli konsekwentnie jej następcy; za Mikołaja I doszła ona do najwyższego nasilenia. Cóż dziwnego, że osaczona masa drobnoszlachecka żywiła w sobie napiętą zaciekłość ostrej obrony. Karmiła się ona zaprawą z dawna i dobrze przysposobioną. Postawa wroga poczynaniom zaborcy, zdecydowana orientacja przeciwrządowa, a więc i przeciwrosyjska, owej masy drobnoszlacheckiej wydały się w ten sposób szczególnie uzasadnione i zastrzone. W potrzebie narodowej zdała się ona więc predestynowaną do roli przedniej. Ziemi te mogły uchodzić za arsenał energii powstańczej. Mochnacki określił tę sytuację krótko i dobitnie: „ogromna mina podłożona prochem — to była Litwa przed 29” — a w określeniu tym nie było przesady.

Nic dziwnego, że każda wieść o próbach buntu na tej ziemi zaminowanej przyjmowana była w latach fermentu jako dobra, krzepiąca nowina narodowa. Tak też powszechnie rozumiano i przyjęto *Dziadów część III*: nie jako relację o postronnej, mało znacznej przygodzie, ale jako wierzytelny i równoważny wyraz central-

## X

nej problematyki wyjarzmiającego się narodu, jako rzeczywście kampanii powstańczej akt pierwszy. Dramat, który pokazywał przebieg procesu filareckiego, odsłaniał zatem epizod walki na przedpolu, wstępny, a więc wysoce doniosły. W tym aspekcie o jakiejś niespoistości strukturalnej dzieła mówić nie sposób.

### 4

Tak jest nie tylko pod tym jednym względem. Przecież i treściowo dramat rozłożony jest bardzo szeroko. Jest w nim miejsce na konfliktowość nie tylko lokalną i nie tylko doraźną. Wachlarz przeciwieństw antagonistycznych splecionych w tok akcji sięga poza granice narodowościowe czy społeczne, ogarnia wielką antynomię całego owoczesnego porządku europejskiego. Antynomia ta mieści się między dwoma przeciwstawnymi biegunami; nie tylko między Rosją i Polską, nawet nie między despotyzmem i wolnością, ale między wyłączającymi się motorami porządku dziejowego: między satanizmem politycznym a ładem królestwa bożego na ziemi, między Złem a Dobrem.

Do wyłożenia tego układu antynomicznego, do rozwinięcia tej myśli historiozoficznej powracał Mickiewicz wielokrotnie. Szeroko wykladał ją w *Księgach*, popularyzował w artyku-

łach „Pielgrzyma Polskiego”, powróci do niej w *Prelekcjach*. Najwyraziściej odsłania się ona w programowym artykule „Pielgrzyma” *O partii polskiej*. W podniesieniu tej pryncypialnej rozbieżności, tych nieprzejednanych przeciwieństw wolno widzieć jeden z zasadniczych filarów wspierających wążania myśli politycznej Mickiewicza. W *Dziadów* części III wskazać możemy jej najwcześniejszy związek. Należy ją tu w zwięzłym skrócie unaocznic.

Despotyzm władców, wyrosły z posiewu szatańskiego, wprowadził w dzieje wolnej ludzkości pierwiastek samowoli, dumy, żarłoczną żądę posiadania i rozpasanie ucisku. „Ale królowie zepsuli wszystko. Bo królowie stali się źli i szatan wstąpił w nich”. Tyraństwa tego kwintesencja ujawniła się w Rosji; tam, za carów, despotyzm wystąpił w najwyższym nasileniu. Słusznie będzie nazwać go caryzmem i przejrzyć jego istotę. Od dawnego despotyzmu różni się on w sposób esencjonalny. „Despotyzm jest stary, caryzm jest nowy i oryginalny systemat [...]. Despotyzm bywał często ciemnością tylko bierną, niedostatkiem światła. Caryzm jest ciemnością czynną, jest prawdziwym szatanem politycznym”.

Swą nienasyconą żarłoczność obrócił caryzm przeciwko Polsce, czcicielce wolności. W ten sposób stanęły przeciwko sobie nie tylko dwa

## XII

państwa, ale dwa systemy polityczne, dwa antagonistyczne pierwiastki bytu: Zło i Dobro. Na węglach tej antynomii oparta została struktura dramatu. Tej natury i w tym przeciwstawnym napięciu ujawnia się dynamika *Dziadów cz. III*. Dynamika to najwyższej potęgi, w jej wyładowaniu biorą udział siły biegunowe: ziemskie i nadziemskie, ludzie, szatani i anioły; między ludźmi zaś święci i szubrawcy.

Nowosilcow, narzędzie szatańskie, jest przykładnym wykwittem samej istoty caryzmu. Połowa duszy jego rozsiewa po ziemi zło, impulsy do zbrodni, druga połowa waruje na progu szataństwa, „gdzie z sumieniem graniczy piekielna kraina”. Takie to moce wywarły się przeciwko narodowi polskiemu, osłanianemu bożą opieką. Takie oto siły stanęły przeciwko sobie: przeciw Ormuzdowi — Aryman, przeciw światłości świata — księżę ciemności. Między tymi siłami i systemami nie masz pojednania, antynomia tu całkowita.

To przejrzenie i tę koncepcję historiozoficzną po raz pierwszy ujął i rozwinął poeta w *Dziadach*, w tym jest utworu tego prymat główny, znaczenie najwyższe. Potężny finał proroczy Ustępu zapowiada ruinę i zbliżający się już kres tyraństwa. Koniec Widzenia ks. Piotra wprowadza wizję tryumfującego Męża, „namiestnika wolności”, o nazwisku okrywającym



zbiorowość. Między tymi antagonistami sprzeczność jest absolutna. Nad panoszącym się caryzmem zabrzmiały słowa poematu jak złowroga zapowiedź *Księgi Genesis*: „Położę nieprzyjaźń między tobą, a Niewiastą; między nasieniem twoim, a nasieniem jej”.

Do gromadki przyjaciół zaś, których poeta zjednał sobie w onym pandemonium zła, do tych, którym — wygnaniec — odkrył był swe „tajnie zamknięte w uczuciach”, śle teraz poemat swój jak żrący i palący kielich trucizny, podarek zapowiedni:

„Niech żre i pali nie was, lecz wasze okowy”.

*Dziadów część III*, jedno ze szczytowych osiągnięć polskiej poezji, przyniosła generacji współczesnej i przekazała potomnym bogaty skarbiec wartości artystycznych, przykłady niewidzianej i niesłychanej dotąd potęgi słowa i obrazowania, wiernym wyrazem odtworzyła pamiętne sceny historyczne, charaktery ludzkie i rozległą gamę poezji wstrząsającej pokoleniem. Najważniejsza wszelako z tych wartości zasadza się na tym, że poemat ten nastawił uczuciowość polską na przeciąg całego stulecia.

*Stanisław Pigoń*

## Od Wydawcy

Za podstawę fotooffsetowej edycji pierwodruku *Dziadów części III*, wydanego w Paryżu w drukarni A. Pinarda w 1832 r. jako *Poezycji Adama Mickiewicza tom czwarty*, przyjęto egzemplarz będący własnością Muzeum Adama Mickiewicza w Warszawie, sygn. I, 4. Egzemplarz, w którym zachowały się obydwie części oryginalnej okładki — niestety bez grzbietu — otrzymał nadto staranną sztywną oprawę w czasie, gdy właścicielem jego był Aleksander Semkowicz (na odwrotnej stronie przedniej części okładki znajduje się ekslibris Semkowicza). Środkowy fragment oryginalnego grzbietu pierwodruku zachował się w innym egzemplarzu czwartego tomu *Poezycji*, należącym też do zbiorów Muzeum Mickiewicza. Fragment ten oraz zachowany w całości grzbiet egzemplarza pierwodruku trzeciego tomu *Poezycji* — również ze zbiorów Muzeum Mickiewicza — posłużyły za podstawę całkowitej rekonstrukcji linearnego i zdobniczego rozplanowania płaszczyzny grzbietowej oraz częściowej rekonstrukcji napisu.

Diapozytywy opracował Bronisław Kupiec. Retusz i kontrolę filologiczną tekstu na diapozytywach oraz retusz płyt offsetowych wykonał Kazimierz Pecold. Wykonanie drukarskie Zakładów Kartograficznych we Wrocławiu pod dyrekcją Tadeusza Sługockiego. Pracami offsetowymi kierował Ryszard Witkowski. Kopiował Leopold Szczotka. Drukowali: Henryk Bugajski, Jerzy Niewierski i Jerzy Rytka. Oprawa pod kierunkiem Marcina Wojciechowskiego. Futerał według projektu Aliny i Leszka Kaćmów wykonał Zakład Introligatorski Józefa Legeżyńskiego w Krakowie

Redaktor

KAZIMIERZ PECOLD

Zakład Narodowy im. Ossolińskich — Wydawnictwo 1967.

Nakład 4700+300 egz., w tym 100 egz. numerowanych od 1 do 100.

Ark. wyd. 8,65, ark. druk, 19.

Papier offset, kl. III, 80 g z P.W.P.W.

Druk ukończono w kwietniu 1967 r. Zam. nr A/1 (D-2).

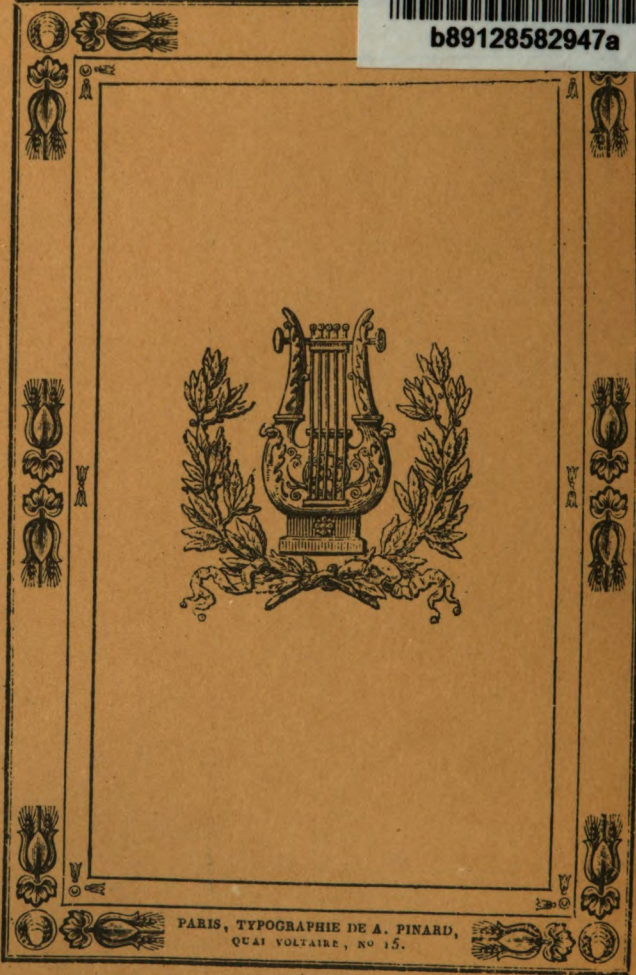




89128582947



b89128582947a



PARIS, TYPOGRAPHIE DE A. PINARD,  
QUAI VOLTAIRE, NO 15.